**W numerze:** JURIJ LIMONOW **Lenin jako historyk** ● TERESA WOJCIECHOWSKA **Staruszek z ulicy Cegielnianej** ● KAROL BADZIAK **Miasteczko z własnym kronikarzem** ● **Twarzą na kamień** ● **Wiersze** ● **Zewsząd o wszystkim** ● **Nowela**

# odgłosy

HONOROWA ODZNAKA M. ŁODZI

19. IV. 1970 r.
16 (648)
Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIII

## Włókniarzom — wszelkiej pomyślności!

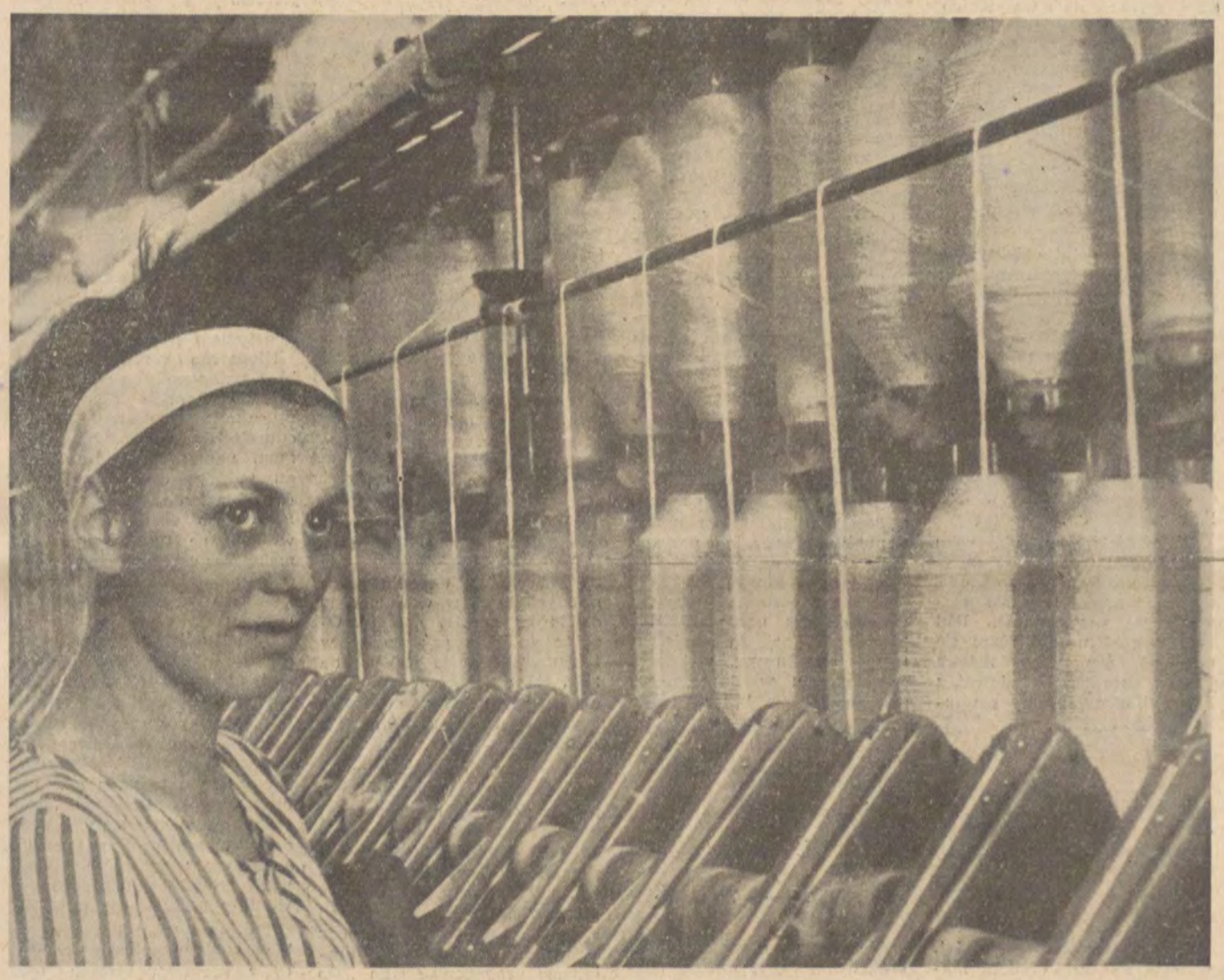

*Fot. W. Parys*

ANDRZEJ MAKOWIECKI

# Ludzie, którzy ubierają świat

Udało mi się wpakować na Olimp kuchennymi schodami.
Przypadek.

Co sobota, jeśli mam trochę czasu, bywam na Czerwonym Rynku; rzadko coś kupię; podglądam po prostu obyczaje przechernych handlarzy. To mi potem procentuje w pisaniu. No bo tak: zauważyłem, że od kilku miesięcy baby o cwanym, cynicznym wejrzeniu sprzedają ukradkiem, niejako spod lady, różne bluzki, golfy i półgolfy, opatrzone angielskimi, niemieckimi i włoskimi metkami. Idzie to jak woda po pięćset, sześćset, nieraz i siedemset złotych za sztukę, czemu się wcale nie dziwię, bo to i modne fasony i niebanalne kolory, porządne rękawy i ściągacze... Coś takiego kosztuje przecież w komisach dużo drożej, chociaż jest nielicho przepocone i porozciągane przez dobre ciotki z USA.

Ale kiedyś handlarka z Czerwonego Rynku wpakowała się na minę. Dała golfik do przymiarki jakiemuś facetowi, a on zbadał pod światło strukturę tkaniny, przyjrzał się angielskiej, pięknie naszytej metce: „Ship'n Shore. The easy care blouse 65 proc. dacron polyester 35 proc. cotton" — i powiedział, że jakby co, to ona może mieć spore nieprzyjemności za fałszowanie towaru, gdyż jest to przecież golf wyprodukowany przez łódzkie Zakłady Przemysłu Dziewiarskiego „Olimpia".

— Skąd! — oburzyła się handlarka, czerwieniejąc na twarzy. Zaczęła wyrywać facetowi towar z ręki. Otoczył ich z miejsca niemały tłum. Szum, rwetes, ożywiona dyskusja. Facet twardo obstawał przy swoim i handlarka traciła z wolna pewność siebie, wyglądając kosym okiem milicjanta, lecz nagle ruszyła jej z odsieczą inna baba, koleżanka po fachu (kryła za pazuchą kilka takich samych golfów), która, jak się okazało, miała duże rozeznanie w problemach światowego rynku i mogła być z powodzeniem agentem reklamowym łódzkich zakładów.

— A nawet jak z „Olimpii", to co? Gorsze? Spróbuj pan kupić w sklepie. To wszystko na eksport idzie do Kanady, USA, Szwecji, Anglii, Australii...

Od tej pory niektóre handlarki przestały przeszywać metki na łódzkich wyrobach. Sprzedają bezczelnie, po dwieście złotych drożej, ale znak „Olimpii" pozostawiają w spokoju.

1.

Kiedy nadeszła pora, aby uczcić reportażem coroczne święto włókniarzy, poszedłem do łódzkich zakładów i opowiedziałem Michałowi Strzeleckiemu, sekretarzowi ekonomicznemu Komitetu Zakładowego partii, te moje rynkowe przygody z „Olimpią".

— My o tym wiemy — powiedział. I dorzucił od siebie kilka innych zabawnych historii:

Zdarzało się przecież, że sweterki „Olimpii" były sprzedawane po wyśrubowanych cenach — też, rzecz jasna, jako wysokiej próby towar zagraniczny — w łódzkich i nie tylko łódzkich komisach.

Ale największa heca była z dyrektorem pewnego łódzkiego przedsiębiorstwa, który wyjechał służbowo do Anglii i szarpnął się bo-

Dalszy ciąg na str. 5

# Dyskusja i wnioski

**Rozmowa z dr Kazimierzem Łukaszewskim, kierownikiem Wydziału Ekonomicznego Komitetu Łódzkiego PZPR**

**— Towarzyszu Kierowniku, jak załogi łódzkich fabryk przyjęły proponowane przez Biuro Polityczne zmiany w systemie bodźców?**

— Założenia zmian metod podwyższania płac robotniczych oraz zmian systemu premiowania pracowników umysłowych w przedsiębiorstwach i zjednoczeniach przemysłowych wzbudziły powszechne zainteresowanie załóg pracowniczych. Przedstawiony projekt spotkał się generalnie z pozytywną oceną załóg.

We wszystkich gałęziach łódzkiego przemysłu podkreślano w dyskusjach pozytywy proponowanych zmian, a zwłaszcza uzależnienie poziomu płac od istotnego postępu w wynikach gospodarczych przedsiębiorstw i zjednoczeń oraz konkretnego wkładu pracy każdego pracownika. Przebieg dyskusji wykazał zrozumienie sensu i potrzeby zmian w systemie bodźców ekonomicznych, jako warunku wyzwalania dalszych rezerw gospodarczych i intensyfikacji metod gospodarowania.

W przedsiębiorstwach powszechnie podkreślano, że istotną zaletą proponowanego systemu bodźców, jest zsynchronizowanie tempa wzrostu płac pracowników umysłowych i fizycznych. Należy powiedzieć, że dyskusja miała charakter szeroki i twórczy. W zebraniach i naradach na ten temat uczestniczyło blisko 47 tysięcy osób, w tym około 70 procent robotników. W dyskusji zabierało głos, względnie zadawało pytania ponad 9 tysięcy uczestników zebrań i narad, z czego 58 procent robotników. W toku zebrań oraz do punktów konsultacyjnych zgłoszono ponad 5 tysięcy uwag, pytań i wniosków. Ponad 45 procent uczestników dyskusji stanowili bezpartyjni.

Założenia zmian w systemie bodźców materialnego zainteresowania w przemyśle przyjęto wszędzie jako konsekwentnie harmonizujące z wytyczonymi przez V Zjazd i II Plenum KC PZPR celami, stojącymi aktualnie przed gospodarką Polski.

**— Jak Towarzysz Kierownik ocenia udział w dyskusji innych środowisk — prasy, stowarzyszeń, pracowników naukowych?**

— W Łodzi należy pozytywnie ocenić całokształt działalności publicystycznej w tym zakresie, jak również pracę środowiska ekonomicznego pod kierownictwem Łódzkiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego. Szeroki udział w dyskusji wzięli również pracownicy naukowi UŁ i PŁ, wnosząc szereg konstruktywnych uwag i propozycji do założeń nowego systemu bodźców materialnego zainteresowania.

**— Co Towarzysz sądzi o doborze wskaźnika syntetycznego i zadań odcinkowych w przedsiębiorstwach łódzkich?**

— Pozytywnym zjawiskiem był fakt łączenia wyboru odpowiedniego wskaźnika syntetycznego, jak również zadań odcinkowych, przede wszystkim z zagadnieniami, zmierzającymi do zwiększenia efektywności pracy poszczególnych przedsiębiorstw i branż przemysłowych. I tak w przedsiębiorstwach przemysłu lekkiego podstawą dyskusji były takie problemy, jak: postęp w dziedzinie techniki, technologii i organizacji zmierzającej do unowocześnienia produkcji, wzrostu wydajności pracy i obniżki kosztów własnych, zwiększenie udziału nowoczesnych surowców chemicznych w produkcji, zwiększenie efektywności wykorzystania surowców, zwiększenie szlachetnych wykończeń i przyśpieszenie modernizacji wykończalni, unowocześnianie struktury wyrobów, instalowanie w zakładach nowych lub modernizowanych maszyn o wysokich parametrach techniczno-ekonomicznych.

Dalszy ciąg na str. 3

## ŚWIATA

*Kanclerz Brandt w czasie swej wizyty w Stanach Zjednoczonych raz jeszcze zabrał głos na temat polityki wschodniej Bonn. Przypomniał, że rząd NRF rozpoczął rozmowy z ZSRR, Polską i NRD. Podkreślił również, iż wiążą się one ściśle pod względem rzeczowym i w czasie z rozmowami na temat Berlina, jakie podjęły wielkie mocarstwa. Wychodzimy z założenia — stwierdził Brandt — że „rzeczywistością jest Układ Warszawski, dwa państwa niemieckie, granice Polski. Te realia muszą być punktem wyjścia...".*

*Tak więc SPD-owski kanclerz NRF któryś tam już raz z rzędu w ciągu niemal półrocznego okresu przewodniczenia rządowi w Bonn wypowiedział rozsądnie brzmiące słowa. Rzecz jednak w tym, że są to ciągle t y l k o słowa. A tymi, jeśli nie mają pokrycia w politycznej praktyce, niczego jeszcze nigdy nie osiągnięto.*

*Kiedy nowy rząd NRF podejmował inicjatywę Polski i decydował się na polityczną wymianę poglądów z nami — nie miał wątpliwości: Polsce chodzi przede wszystkim o uznanie granicy na Odrze i Nysie za ostateczną i niepodważalną. Dopiero wówczas, gdy to nastąpi, będzie kolej na inne sprawy. Wyrażaliśmy tę opinię dziesiątki razy i sami politycy zachodnioniemieccy w swych wystąpieniach potwierdzali, iż zdają sobie z tego sprawę. A jednak dotychczas nie uczynili niczego, co by mogło wskazywać na takie — proste i jednoznaczne — podjęcie kwestii. W zamian słyszymy wciąż o przeszkodach: układach paryskich, traktacie pokojowym, kompetencjach wielkich mocarstw... W tej sytuacji może się rodzić pytanie: a może rządowi Brandta chodzi tylko o to, aby nadać rozgłos jego polityce, której jednak naprawdę nie zamierza zmieniać?*

*Pół roku w polityce — to nie za wiele. Półrocze Brandta mogło przynieść coś więcej niż tylko spektakularne elementy, gdyby kanclerz wyraźnie sygnalizował kierunki zmian polityki bońskiej. To jednak nie nastąpiło. 6 miesięcy jego kanclerstwa zamyka się więc wprawdzie podjęciem rozmów w Moskwie, Warszawie i Erfurcie, ale też brakiem rzeczywistego postępu. Klucz do odpowiedzi na pytanie: czy on nastąpi? — jest w ręku Brandta. Czas wyjaśni, jak się nim posłuży.*

*Po tej okazjonalnej refleksji przenieśmy się na Bliski Wschód.*

*W prasie światowej znów zawrzało. Izrael bowiem, którego prowokacje wobec krajów arabskich nie ustają, dopuścił się nowego barbarzyńskiego wyczynu: zbombardowano egipską szkołę. „Trzydzieści dzieci egipskich, niewinnych ofiar ostatniego epizodu w konflikcie bliskowschodnim — pisze „Nation" — stanowi tragiczny symbol eskalacji militarnej". Pismo dodaje, że „uczniowie nie zginęliby, gdyby respektowano porozumienie o wstrzymaniu ognia i gdyby Izrael zgodził się wprowadzić w życie zalecenia Rady Bezpieczeństwa. Tymczasem Tel Awiw nie okazuje dobrej woli, wciąż odmawia możliwości p o k o j o w e g o uregulowania napiętej sytuacji".*

*Do Kairu i Tel Awiwu wybrał się w ostatnich dniach podsekretarz stanu do spraw Bliskiego Wschodu — Sisco. Ponoć — w celu zbadania możliwości złagodzenia napięcia. Komentatorzy podkreślają, że misja ta (jeśli w ogóle Sisco kieruje się dobrymi intencjami) skazana jest na niepowodzenie, gdyż „wysłannik Nixona znajduje się w obliczu gniewu Arabów". To przecież z samolotów, dostarczonych przez Stany Zjednoczone, spadają te bomby — podkreśla prasa.*

*Podróż Sisco, pierwsza tego rodzaju od dłuższego czasu, znamienna również dlatego, że ZRA i USA nie utrzymują stosunków dyplomatycznych, wzbudziła duże zainteresowanie. Komentatorzy zastanawiają się, czy rozmowy kairskie mogą wnieść cokolwiek nowego, czy też mają j e d y n i e roztoczyć zasłonę dymną nad nieograniczonym poparciem USA dla Izraela.*

*Tymczasem konsultacje czterech mocarstw weszły w drugi rok trwania, (rozpoczęły się 4 kwietnia 1969 roku). Niestety, nie przyniosły one żadnych widocznych oznak postępu. Jedynym jaśniejszym punktem jest decyzja o przystąpieniu do opracowania memorandum na temat zbieżnych poglądów. Zdaniem obserwatorów, powstanie tego dokumentu może być pretekstem do wznowienia misji Jarringa. Szanse powodzenia tej misji są jednak minimalne.*

*I jeszcze krótko o sytuacji w Kambodży.*

*Komplikuje się ona coraz bardziej. W ostatnich dniach władze tego kraju otworzyły granicę wschodnią. Według doniesień agencji — przekraczają ją oddziały sajgońskie. Reżim południowowietnamski zaproponował równocześnie Lon Noli rozmowy w celu rozwiązania wszystkich pilnych problemów. W kraju panuje stan napięcia.*

*Z kolejnym oświadczeniem wystąpił książe Sihanouk. Czytamy tam m. in., że otrzymuje on coraz to nowe zgłoszenia od osób, pragnących wstąpić do armii wyzwolenia narodowego.*

*Sytuację w Kambodży powinniśmy śledzić jak najbaczniej.*

*W. SŁAWSKI*

# Francja - NRD

**„LE MONDE" — PARYŻ**

Mieszkańców zachodniej Europy, którzy mają okazję odwiedzić NRD, zdumiewa paradoks: brak zbieżności pomiędzy stanem faktycznym i sytuacją prawną, to jest pomiędzy ekonomiczną i polityczną rzeczywistością w NRD, a odmową większości państw zachodnich uznania kraju, który ma wszystkie cechy suwerennego państwa.

To prawda, że od pewnego czasu Republika Federalna wydaje się dążyć do zmiany stanowiska. Ale co zrobią inne rządy krajów zachodniej Europy? Czy zadowolą się wyłącznie decyzją NRF, czy też same zechcą określić swoje stanowisko?

Nie sposób pomijać realnych faktów ekonomicznego rozwoju tego kraju, co znajduje wyraz na wszystkich rynkach światowych, kraju, który nie przestaje zwiększać produkcji na potrzeby rynku wewnętrznego, kraju, zajmującego obecnie ósme miejsce w świecie wśród potęg przemysłowych. Do takich osiągnięć doszła NRD mimo ogromnych zniszczeń, spowodowanych wojną oraz braku rąk do pracy.

Jest to w pełni obiektywne stwierdzenie faktów. Przedstawiciele Francuskiego Związku Przedsiębiorców, którzy niedawno przebywali w NRD, mogli się naocznie przekonać, o szybkim tempie rozwoju przemysłowego w tym kraju. I wcale nie przypadkiem francuskie biuro do spraw ekonomicznych z udziałem Francuskiego Związku Przedsiębiorców, zostanie otwarte w Berlinie wschodnim.

W październiku, ub. roku NRD obchodziła swoje dwudziestolecie. Państwo to korzysta ze wszystkich praw wewnętrznej suwerenności. Pod tym względem nie różni się ono od wszystkich innych krajów demokracji ludowej, z którymi utrzymujemy stosunki dyplomatyczne.

W Europie nie można mówić o pokoju bez uznania granicy na Odrze i Nysie. NRD uznaje tę granicę.

Czyż można sobie wyobrazić konferencję w sprawie bezpieczeństwa w Europie bez udziału NRD, leżącej w centrum Europy? Czy można sądzić, iż członkowie Paktu Warszawskiego zerwą więzy solidarności, łączące ich zarówno w sferze ideologii, jak i planów obronnych?

Jeśli NRD przystąpi do układu o bezpieczeństwie zbiorowym, to może to uczynić wyłącznie na tych samych warunkach, na jakich robią to inni uczestnicy układu, co pociąga za sobą uznanie NRD przez wszystkich jego sygnatariuszy.

Rozwijać współpracę — to znaczy pracować dla lepszego, wzajemnego zrozumienia, w imię pokoju. Czyż nie jest prawdą, że rokowania w sprawie współpracy kulturalnej i wymiany handlowej pozwoliły nam na polepszenie naszych stosunków z innymi krajami demokracji ludowej? Tak też powinno być i z NRD.

Czyż dopuszczalne jest istnienie systemu paszportowego, który utrudnia obywatelom NRD przyjazdy do Francji, podczas gdy francuskie miasta, zaprzyjaźnione z niemieckimi, wymieniają delegacje, które są zalążkami wzajemnych stosunków i zbliżenia między obu narodami?

Czy można dopuścić do tego, żeby zwycięzcy w zawodach sportowych, nie mieli prawa do wysłuchania swego hymnu narodowego i podniesienia flagi, skoro nawet Republika Federalna przyznała im to prawo, na równi ze zwycięzcami innych krajów?

Troską o bezpieczeństwo wymaga od nas uznania NRD. Interesy Francji są zbieżne z interesami Europy, z interesami pokoju w Europie. Ta słuszna decyzja byłaby także decyzją rozumną.

# Bliżej nieba...

**„EUROPEO" — MEDIOLAN**

Już od trzech tysięcy lat, włoskie miasto Pozzuoli, malowniczo położone tuż nad brzegiem Zatoki Neapolitańskiej, to podnosi się, centymetr lub dwa, to znów opada. Mieszkańcy miasta nie zwracali już uwagi na to lekkie kołysanie. Pozzuoli stoi bowiem jak gdyby na poduszce z płynnej magmy wulkanicznej.

Ale oto w ciągu ostatnich sześciu miesięcy, miasto podniosło się aż o 87 centymetrów! Zaczęły trzeszczeć ściany domów i pękać rury kanalizacyjne. Od marca br. miasto podnosi się o około półtora centymetra dziennie.

Ludność ogarnęła trwoga, która przemieniła się w panikę, kiedy miejscowi rybacy zaczęli wyciągać sieci pełne martwych ryb. Jak już dziś wiadomo, zginęły one zatrute gazami pochodzenia wulkanicznego.

Pozzuoli leży 24 kilometry od Wezuwiusza, który od 26 lat jest uważany za „uśpiony". Włoscy sejsmolodzy przypuszczają, iż ruchy tektoniczne, występujące w rejonie Pozzuoli są najprawdopodobniej związane z aktywnością Wezuwiusza. A jeśli nie, to — jak utrzymują — biorąc pod uwagę występujące tam zjawiska, Pozzuoli znajduje się nad centrum innego wulkanu, którego wybuch może nastąpić w każdej chwili.

Tylko w ciągu dwóch pierwszych dni paniki opuściło Pozzuoli około 25 tysięcy mieszkańców, z ogólnej liczby 70 tysięcy. Dwieście wojskowych ciężarówek przewiozło ludność miasta na przedmieścia Neapolu, gdzie część uchodźców znalazła tymczasowe schronienie w nieczynnym szpitalu dla umysłowo chorych.

Mer miasta Pozzuoli nakazał również ewakuację mieszkańców ubogich dzielnic peryferyjnych, położonych nad samym brzegiem zatoki. Obecnie, te puste, ponure slumsy, w których mieszkało 6 tys. ludzi, przypominają ogromne zsypiska śmieci. Jednakże do dziś gnieżdżą się tam ludzie, którzy odmawiają opuszczenia swoich schronień. Dla nich perspektywa wegetacji bez dachu nad głową jest straszniejsza od groźby wybuchu wulkanu. Wiedzą oni doskonale, z jaką obojętnością władze włoskie traktują problem bezdomnych.

Rybak z Pozzuoli, Procolo Gardazione, podaje przykład: dwa lata temu, w wyniku trzęsienia ziemi, tysiące sycylijskich chłopów pozostało bez domów — do tej pory mieszkają w namiotach. Gardazione mówi: „Wulkan unosi nas w stronę nieba, ale w ostatecznym rachunku okazuje się, że jesteśmy wtrącani do piekła...".

# „Wojna z papierosem"

**„BUSINESS WEEK" — NOWY JORK**

Walka z nałogiem palenia tytoniu przybrała w USA formy szerokiej kampanii, od czasu, gdy w połowie lat 50-tych lekarze stwierdzili ponad wszelką wątpliwość, jak bardzo palenie jest szkodliwe dla zdrowia.

Wydaje się, że ta święta „wojna z papierosem" zaczęła przynosić pierwsze owoce. Według danych statystycznych, od 1966 r. do 1969 r. liczba pełnoletnich palaczy w Stanach Zjednoczonych zmniejszyła się o 5 procent. Ku zadowoleniu amerykańskiej służby zdrowia, 7 i pół procent młodych ludzi w wieku od 17 do 24 lat rzuciło palenie. Ogólne spożycie papierosów w kraju zmniejszyło się już na tyle, iż w ubiegłym roku produkcja papierosów spadła o 3 procent, tzn. o 20 miliardów sztuk.

Od niedawna walka z paleniem tytoniu ogarnęła całe miasta. Po raz pierwszy miało to miejsce latem ubiegłego roku, kiedy to 376 palaczy papierosów z miasta Greenfeld, stan Iowa, po rzuceniu w ogień papierosów, złożyło podpisy pod solenną obietnicą zerwania z nałogiem i przyrzekło uroczyście propagować film „Złoty indyk", który wywołał masowy ruch „antynikotynowy".

Również w mieście Turlock (13 tysięcy mieszkańców — stan Kalifornia) jesienią ub. roku przeprowadzono miesięczną akcję walki z nałogiem palenia. Na drogach wiodących do miasta ustawiono plansze z napisami: „Nie zanieczyszczajcie powietrza" „Skończmy z chorobami serca", „Prosimy o niepalenie papierosów", „My też walczymy z nałogiem palenia"...

Niedawno komitet do walki z paleniem papierosów w mieście Randolf (28 tysięcy mieszkańców w stanie Massachusetts) zaproponował palaczom papierosów, aby w ciągu jednego dnia wstrzymali się od palenia, a zaoszczędzone w ten sposób pieniądze wpłacili na fundusz miejscowych szkół. Pod koniec tego dnia na rzecz wspomnianego funduszu wpłynęło 3500 dolarów.

Do antynikotynowej kampanii przystąpiły też lokalne stacje radiowo-telewizyjne. Radio w mieście Fairfaks (stan Wirginia) rozpoczyna każdą kolejną audycję sloganem: „Rzućcie palenie!". Radiostacja w Bostonie nadała w ub. miesiącu 12-godzinny „program antynikotynowy", podczas którego palacze kaszlali, a lekarze i psycholodzy omawiali metody skutecznego zerwania z nałogiem.

Trudno jednak liczyć na jakieś większe sukcesy w walce z paleniem tytoniu, jeśli ci, którzy pragną odzwyczaić się od papierosów, nie otrzymują realnej pomocy ze strony lekarzy. Powinny się nimi zająć kliniki specjalistyczne. „Ważne jest — mówi dr Costa z San Francisco — aby do takiej kliniki można trafić tak samo łatwo, jak kupić paczkę papierosów".

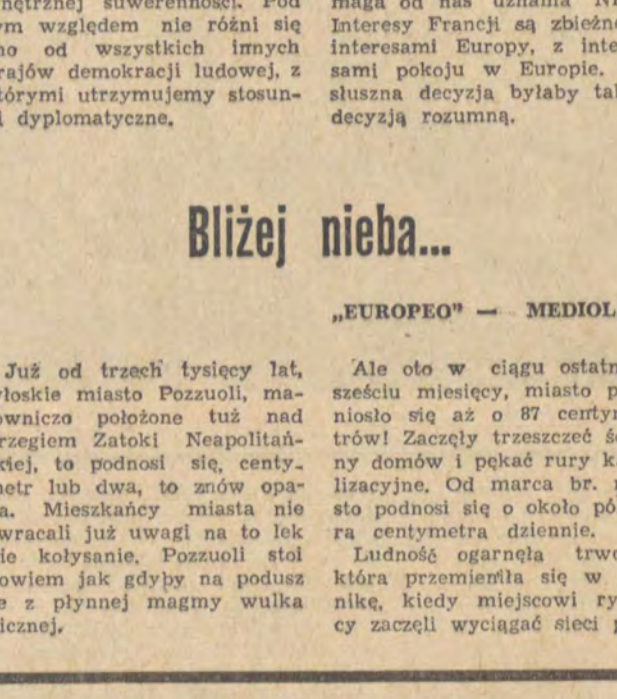


*Fot. W. Parys*

**JERZY WILMAŃSKI**

# W stulecie urodzin W. I. Lenina

*„Postać Lenina w plakacie polskim" — tak brzmi tytuł interesującej wystawy eksponowanej aktualnie w Muzeum Sztuki. Zgromadzono tu ponad czterdzieści plakatów z ostatnich piętnastu lat — część z nich wypożyczono na tę — pierwszą tego typu wystawę — z Muzeum Plakatu w Wilanowie oraz Muzeum Lenina w Warszawie.*

Jest to ekspozycja ze wszech miar interesująca i godna uwagi. „Niezależnie bowiem od niezaprzeczalnych walorów artystycznych — jak piszą we wstępie katalogu organizatorzy — plakaty zebrane na tej wystawie zyskują jeszcze jedną funkcję — dostojniejszą od pozostałych. Stają się rodzajem pomnika wystawionego przez polskich artystów Wodzowi Rewolucji Proletariackiej".

O polskim plakacie leninowskim i jego autorach można powiedzieć te same słowa, którymi kiedyś Leni-

# Ludzie, którzy ubierają świat

Dalszy ciąg ze str. 1

hatersko na piękny golf w jednym z londyńskich sklepów. Po powrocie do kraju żona dyrektora pochwaliła zakup, ale doszła do wniosku, że sweterek jest trochę za obszerny, więc dyrektor owinął go w papier i zaniósł do „Olimpii" z prośbą o fachowe przykrócenie. Do myślacie się chyba pointy? Łódzcy dziewiarze bez trudu rozpoznali, że domniemany angielski ciuszek jest dziełem ich własnych rąk: pokazali nawet dyrektorowi maszynę i człowieka, który go parę miesięcy temu wyprodukował.

2.

„Olimpia" ubiera panie — bluzki, bliźniaki, kamizelki, golfy i półgolfy.

Panów — koszulki polo z krótkimi i długimi rękawami, golfy i półgolfy.

Oraz młodzież — wszystko to samo w odpowiednio zmniejszonych rozmiarach.

Podstawowym tworzywem jest anilana i modylon.

W sześćdziesiątym piątym roku zaczęła się wielka modernizacja zakładów. Wymieniono stary park maszynowy. Wymieniono — jak to łatwo powiedzieć — świadomość techniczną pracowników, przyzwyczajonych do prymitywnych, mało wydajnych maszyn. Nie obyło się bez konfliktów. Przeszeregowania, zwolnienia... Duża fluktuacja kadr, na którą niemały wpływ miała konieczność uczęszczania na kursy i wykłady. Były także sukcesy... „Olimpia" — przed czym broni się wiele zakładów — przyjęła dobrowolnie na staż cały, pięćdziesiąt dziewcząt liczący, Ochotniczy Hufiec Pracy. Czterdzieści spośród tych, zaniedbanych moralnie, urodzonych w niedzielę nastolatek zwycięsko przeszło przez dziewięciomiesięczną praktykę; są dziś dobrymi, uwolnionymi od mrocznej przeszłości pracownicami; zarabiają do trzech tysięcy złotych miesięcznie.

— Stawiamy na młodzież — mówi Michał Strzelecki. — Niedawno znowu przyjęliśmy na staż Ochotniczy Hufiec Pracy. Około stu chłopców i dziewcząt. Proszę na nich popatrzeć...

Snuję się po halach. I patrzę. Na dziewczęta ze szwalni troskliwie pogrążone w pracy. Na chłopaków, którzy na dziewiarni uwijają się przy maszynach — niektórzy ubrani są tak, jakby tu za chwilę miał się odbyć koncert Czesława Niemena: dżinsy, wielobarwne skarpetki, koszule z pagonami i kolorowe apaszki. Włosy długie, starannie ufryzowane... Przytupują do taktu nogą, bo z radiowęzła leci skoczna muzyczka, za którą, w wyniku ankiety, wypowiedziało się ponad osiemdziesiąt procent załogi.

— Muzyka sprzyja robocie — mówi stary majster. — A długie włosy tych szczawików też nikomu nie przeszkadzają. Chyba, żeby miały wkręcić się w maszyny... — śmieje się szeroko: — Pan rozumie, wtedy i człowieka szkoda i maszyny, która nieraz kosztuje więcej niż dwa luksusowe „Fordy"...

To prawda. „Olimpia" pracuje na najnowocześniejszych cottonach: belgijskich, angielskich, niemieckich, które — opanowane odpowiednio przez człowieka — zapewniają wysoką jakość towarów i dużą wydajność.

Jeśli kogoś interesują liczby...

W 1969 roku wyprodukowano 3 mln 300 tys. sztuk odzieży.

W 1970 plan przewiduje produkcję 4 mln 100 tys. sztuk, co przyniesie, według cen zbytu, 865 mln złotych dochodu.

W 1973 „Olimpia" zostanie miliarderem: zakłada się produkcję 5 mln 200 tys. sztuk i dochód w wysokości 1 miliarda 72 mln złotych.

Eksport „Olimpii" w porównaniu z rokiem minionym wzrośnie trzykrotnie: w 1969 — 465 tys. sztuk, w 1970 — 1 mln 470 tys. sztuk.

Co jeszcze?

Ano, chyba to, że wzrost jakości i wydajności pracy nie wiąże się ze wzrostem zatrudnienia. Od kilku lat załoga „Olimpii" liczy niespełna 2.500 osób.

3.

Kiedy przed rokiem „Olimpia" obchodziła hucznie dwudziestolecie swojego istnienia, naczelny dyrektor — Marian Tomaszewski — zlecił jednej pani i jednemu panu opracowanie kroniki zakładów — historii, która sięgałaby czasów najdawniejszych i zaspokajała ciekawość dziennikarzy.

Niestety, zamysł ten spalił na panewce. Kroniki jak nie było, tak nie ma i jeśli chcesz się czegoś dowiedzieć, to musisz rozmawiać z Bogdanem Rozstalskim, byłym pierwszym sekretarzem Komitetu Zakładowego partii, a obecnie kierownikiem wzorcowni, który skrupulatnie, na podstawie rozmów ze starymi ludźmi, rekonstruuje dawne, jakże dramatyczne dzieje fabryki.

W telegraficznym skrócie wygląda to tak:

Zakład powstał w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku i był własnością Silbersteina. Wyrabiało się tu tkaniny. Ludzie nie mieli szczęścia do tego Silbersteina, starego cwaniaka, a Silberstein znowu nie miał szczęścia do ludzi, bo przecież robotnicy z jego fabryki stanowili jedną z najbardziej rewolucyjnych załóg na terenie Łodzi. Codziennie przed rozpoczęciem pracy odbywały się na podwórzu zakładów gromkie manifestacje, wspomagane sztandarami i złowróżbnym śpiewem robotników, którzy protestowali przeciwko dwunastogodzinnemu dniu pracy, głodowym zarobkom i skandalicznym warunkom produkcji. Silberstein niewiele sobie z tego robił. Jak mu się ktoś nie podobał, to wyrzucał go na pysk i bez przerwy przykręcał śrubę. To go zgubiło. Pewnego sierpniowego dnia 1907 roku wszedł do gabinetu Silbersteina robociarz i rozwalił starego z rewolweru, a działo się to w tym samym budynku, w którym teraz słucham tej historii. Władze carskie natychmiast wszczęły dochodzenie. Ale załoga była solidarna, zgrana. Nikt nie wydał człowieka, który spełnił zemstę. Wówczas ustawiono robotników na podwórzu, w długim posępnym szeregu i carski żandarm rozpoczął liczenie, wybierając co dziesiątego z załogi na tak zwanego zakładnika. „Zakładnicy" trafili do więzienia i poddani zostali przesłuchaniom i torturom. Lecz i tu nie zdradzili nazwiska mściciela. Wówczas wywieziono ich na Zdrowie i rozstrzelano. Na miejscu każdy stoi dziś pamiątkowy obelisk, który zmusza człowieka do medytacji nad aspektem moralnym tej tragicznej historii... Wiadomo przecież, że wśród rozstrzelanych nie było rzeczywistego zabójcy Silbersteina. Przetrwał. Czy powinien był się przyznać? Czy to ocaliło by życie kilkudziesięciu wspaniałych, bohaterskich i niewinnych ludzi, oddających swoją krew w imię solidarności i wzniosłej proletariackiej idei? Jest to zapewne temat na coś więcej niż reportaż. Powieść, sztukę, film.

Do wybuchu drugiej wojny światowej tkalnia zarządzana była przez rodzinę Silbersteina. W czasie okupacji przekształcono ją w zakład mechaniczny, produkujący części do pocisków artyleryjskich. W ostatnim okresie hitlerowskiej kadencji, kiedy od Wschodu nadciągało wyzwolenie, Niemcy całkowicie zdewastowali fabrykę, wywożąc znaczną część maszyn w głąb Rzeszy.

Po wojnie w tych starych, zniszczonych murach mieściły się magazyny „Społem" i UNRRA.

W 1948 roku zaczęto zagospodarowywać zdewastowane hale.

W 1949 ruszyła produkcja dziewiarska. Fabryka, dla uczczenia pamięci rozstrzelanych, przyjęła nazwę: „Zakłady Przemysłu Dziewiarskiego im. Ofiar 10 września 1907 roku", aby później, w pięćdziesiątym siódmym, rozpocząć etap eksportowych sukcesów pod dźwięcznym szyldem „Olimpia".

Jednym z pierwszych, którzy odbudowywali fabrykę z gruzów wojny, był Władysław Radny, obecnie rencista. Człowiek ten zorganizował na terenie fabryki komórkę Polskiej Partii Robotniczej.

4.

Najnowszą historię zakładów może ilustrować życie Czesława Zawiślaka, dziewiarza, który pracuje tu już dwadzieścia lat. Zresztą pracuje tu również jego żona, brat i siostra. Tworzą klan Zawiślaków, którego Czesław jest nieoficjalnym przywódcą.

— Proszę uważać, jak będziecie się z nim witać — ostrzegał mnie Michał Strzelecki. — On pracował kiedyś na maszynach saneczkowych, takich ręcznie napędzanych i wyrobił sobie przez to ogromną krzepę. Dziś rano jak mi ścisnął rękę, to aż mnie do tej pory boli...

Posłuchałem przestrogi. Głęboko podałem Zawiślakowi dłoń, odpowiednio ją usztywniając. A potem przyjrzałem mu się ciekawie. Niepozorny, niewysoki mężczyzna w granatowym kombinezonie; ciemny blondyn o zmęczonych, niebieskich oczach, w których kryje się zagadka jego życia.

Urodził się w 1927 roku na Bałutach. Jako czternastoletni chłopak został wywieziony w głąb Niemiec. Nie potrzebuje opowiadać, do jakiej pracy był wówczas zmuszany. Wystarczy, żeby pokazał swoje nogi — pozrywane, nabrzmiałe żylakami, poryte śladami odłamków.

W czterdziestym piątym, kiedy wrócił do Łodzi, rozpoczął karierę dziewiarską w Zakładach im. Emilii Plater i do dzisiejszej „Olimpii" trafił już jako doświadczony cottoniarz.

— Było to w roku pięćdziesiątym — wspomina. — Przeszedłem przez wszystkie typy maszyn. Najpierw pracowałem na tych saneczkowych, ręcznie napędzanych. Później jakiś czas byłem majstrem, dozorując pracę sześćdziesięciu czterech maszyn, obsługiwanych przez czterdzieści młodych, swawolnych dziewczyn. Nie mogłem sobie z nimi poradzić. Robiły mi różne kawały, wcześniej urywały się z roboty. Przecież były za duże, żeby kłaść je na kolana i dawać klapsy. Ja takich metod stosować nie umiem. Zrezygnowałem z zaszczytnej posady, prosząc kierownika o przywrócenie mi poprzedniej funkcji cottoniarza. Wtedy akurat zaczęto likwidować u nas maszyny ręczne. Sprowadzono pierwsze automaty, tak zwane „dwulewe". Po nich zapanowały w halach niemieckie „ewery". Po „ewerach" czeskie i angielskie „interloki". No i w końcu zaczęła się era „cottonów"...

— Czy miał pan trudności z przystosowaniem się do tych nowych, skomplikowanych automatów?

— Nie. Ja po prostu lubię maszyny. Ciekawi mnie ich struktura. Jeśli zaczynam pracę na nowej maszynie, to czuję się tak, jakbym czytał nie znaną, interesującą książkę, a z książkami jest tak, że już po kilkunastu stronach zaczynamy rozumieć życie bohaterów i domyślać się końca opowieści...

— Dużo pan czyta?

— Dużo. Najczęściej powieści historyczne.

— Kto jest pana ulubionym autorem?

— Sienkiewicz. Do „Potopu" wracałem już kilkanaście razy w życiu. Jeśli książka jest naprawdę dobra, nigdy się człowiekowi nie znudzi.

— Podobnie jak maszyna?

— Aha.

— A co, zdaniem pana, jest warunkiem sukcesów w zawodzie cottoniarza?

— Dobry wzrok, szybki refleks, inteligencja techniczna. Maszyny nie wolno się bać. Maszynę trzeba rozumieć.

— Ile pan zarabia?

— Do czterech tysięcy.

Kiedy się żegnamy, ostrożnie podaję mu rękę. I puszczam jeszcze na koniec próbny balonik:

— A co się panu w „Olimpii" nie podoba?

Śmieje się. I mówi:

— Dom, w którym mieszkam i zakład, w którym pracuję — to moja ojczyzna. Nawet jeśli nieraz zdarzy się w domu awantura, a w zakładzie krótkie spięcie i tak zawsze jestem szczerym patriotą.

**ANDRZEJ MAKOWIECKI**

*Fot. M. Adamski*

---

ca określił twórczość Tadeusza Trepkowskiego. Plakat leninowski w wykonaniu polskich artystów „odziera zdanie ze wszelkich zbędnych przymiotników i czasowników, dopóki nie zostanie sam jeden rzeczownik — lakoniczny, trafny skrót..."

Przykładem choćby plakat A. Pacha i J. Mroszczaka dla Muzeum w Poroninie. Oto wielkie czerwone litery „LENIN" na tle listów i kart pocztowych, adresowanych z całej niemal Europy do tej maleńkiej osady. „Herrn W. Ulyanow" — Poronin (Galizien) — „Izdatielstwo Priboj" — czytamy na fotokopiach kopert i kart pocztowych... I wielkie litery — nazwisko Lenina. To tło wyraża wszystko — mówi o działalności Wielkiego Rewolucjonisty, który tu w zakątku Galicji, daleko od swego kraju, od Moskwy i Petersburga, żył życiem swego narodu, prowadził korespondencję, pisał — słowem — działał.

Albo inny przykład lapidarnego skrótu. Plakat Tadeusza Jodłowskiego. Wypełnia go fotografia tłumu robotników nieco szara fotografia, jak gdyby przesłonięta matową szybą. A na niej kilkoma kreskami rzucony czarnym tuszem profil Lenina... Na ów skłębiony tłum manifestujących robotników patrzymy poprzez twarz Lenina.

Wykorzystanie tła w podobny sposób znajdujemy także w innych plakatach i choć metoda ta sama — efekty daje za każdym razem inne. Oto postać Lenina na tle różnojęzycznych gazet — oto twarz Lenina na tle „Dekretu o pokoju"...

W dużej mierze tworzywem plakatów leninowskich jest właśnie fotografia. Wykorzystano tu autentyczną siłę oddziaływania, która tkwi w zdjęciach i kronikach filmowych. Działanie dokumentu fotograficznego wzmacnia ne jest zresztą przez poddanie go zabiegom plastycznym — oto plakat Wojciecha Fangora, gdzie fotograficzny portret Lenina powiększono, wydobywając szlachetną surowość faktury makrofotografii.

Jest więc ta wystawa nie tylko oryginalnym wkładem w rocznicę urodzin Wodza Rewolucji, ale jest także nader ciekawym przeglądem artystycznych osiągnięć polskiego plakatu politycznego. Walory ideowe i artystyczne tej wystawy podkreśla także prosta i funkcjonalna oprawa ekspozycyjna — rozbicie niewielkiej salki Muzeum Sztuki na czerwone płaszczyzny wielkich plansz.

* * *

*Na dwu kondygnacjach pawilonu wystawowego Biura Projektów Budownictwa Komunalnego eksponowana jest wystawa leninowska ze zbiorów łódzkiego Muzeum Ruchu Rewolucyjnego i Muzeum Lenina w Warszawie.*

Zgromadzono tu setki archiwalnych zdjęć i fotokopii dokumentów, dotyczących nie tylko samej postaci Wodza Rewolucji, ale także szeroko potraktowanej epoki, w której działał. Mamy więc na tej wystawie także szereg dokumentów i zdjęć z rewolucji 1905 roku. Autorzy wystawy umieścili w tym miejscu jakże słuszną uwagę Lenina, że „bez „próby generalnej" 1905 roku zwycięstwo Rewolucji Październikowej 1917 byłoby niemożliwe".

Ekspozycję dokumentów i książek wzbogacono działami plastycznymi, na czoło których wysuwają się rzeźby Antoniego Biłasa (monumentalna postać Lenina) i obraz Benona Liberskiego.

Na jednej z dziesiątków plansz fragment krakowskich Plant przy Collegium Novum... Tu oczekiwał przybywającego z Paryża Lenina student UJ, członek partii bolszewickiej, S. Bagocki. Dalej wnętrze domu Teresy Skupień w Poroninie. Prosty stół, rzeźbione góralskie krzesła... Przy tym stole powstało 400 prac publicystycznych, teoretycznych rozważań, wnoszących cenny wkład w rozwój marksistowskiej filozofii.

Interesująca wystawa o ogromnym ładunku walorów poznawczych — oparta na dokumentach, fotokopiach i zdjęciach warta jest polecenia szkołom i zakładom pracy. Przynosi bowiem szeroką udokumentowaną wiedzę o Człowieku, który wstrząsnął starą epoką.

# Dyskusja i wnioski

Dalszy ciąg ze str. 1

Takie kierunki rozwoju przemysłu lekkiego przyczynić się powinny do lepszego zaspokojenia potrzeb rynku wewnętrznego i eksportu.

W przemyśle maszynowym i elektromaszynowym — zabezpieczenie dalszego dynamicznego rozwoju tego przemysłu, zwiększenie nowoczesności i jakości wyrobów, lepsze wykorzystanie czasu pracy maszyn i urządzeń, zwiększenie eksportu i dalsza poprawa jego opłacalności.

W przemyśle chemicznym — pełne wykorzystanie mocy produkcyjnych, dalsza obniżka kosztów własnych produkcji, rozwój produkcji antyimportowej oraz dalszy wzrost eksportu.

**— Jakie są więc konkretne propozycje?**

— W przemyśle lekkim przedsiębiorstwa zgrupowane w branżach: bawełnianej i wełnianej proponują przyjąć za wskaźnik syntetyczny wynikowy poziom kosztów. Natomiast w branżach: jedwabniczej, przędzalni czesankowych, dziewiarskiej, odzieżowej, skórzanej oraz artykułów technicznych — przedsiębiorstwa przyjmują za wskaźnik syntetyczny kwotę zysku.

Przy wyborze zadań odcinkowych aktyw przedsiębiorstw zwracał szczególną uwagę, aby były one tak dobrane w stosunku do wskaźnika syntetycznego, żeby umożliwiały jego realizację, żeby były wskaźnikami wymiernymi, oraz żeby realizacja zadań gospodarczych przedsiębiorstwa była zgodna z potrzebami społecznymi.

Prawie wszystkie przedsiębiorstwa przyjmują maksymalną dopuszczalną liczbę zadań odcinkowych, tzn. cztery. Na ogół przyjmuje się, że wskaźniki odcinkowe będą obowiązywały przez okres następnej pięciolatki. W przemyśle tym, w większości tych przedsiębiorstw, w których produkcja w dużym stopniu uzależniona jest od potrzeb rynku — co wiąże się z częstymi zmianami asortymentowymi produkcji — wskazywano w dyskusji na konieczność ustalenia zadań odcinkowych na okresy jednoroczne.

Zadania odcinkowe we wszystkich przedsiębiorstwach przemysłu lekkiego dotyczą: realizacji zadań przewidzianych w planie postępu technicznego, podniesienia jakości produkcji oraz wydajności pracy.

Niektóre przedsiębiorstwa proponują, aby zadaniami odcinkowymi były również zadania z zakresu wywiązywania się z umów pomiędzy handlem i przemysłem (przedsiębiorstwa odzieżowe), a więc: produkcji kooperacyjnej (przedsiębiorstwa bawełniane, czesankowe i jedwabne), obniżki kosztów materiałowych (przedsiębiorstwa bawełniane i dziewiarskie), zmniejszenia braków produkcyjnych (przedsiębiorstwa artykułów technicznych), wykorzystanie czasu pracy maszyn i urządzeń (przedsiębiorstwa artykułów technicznych).

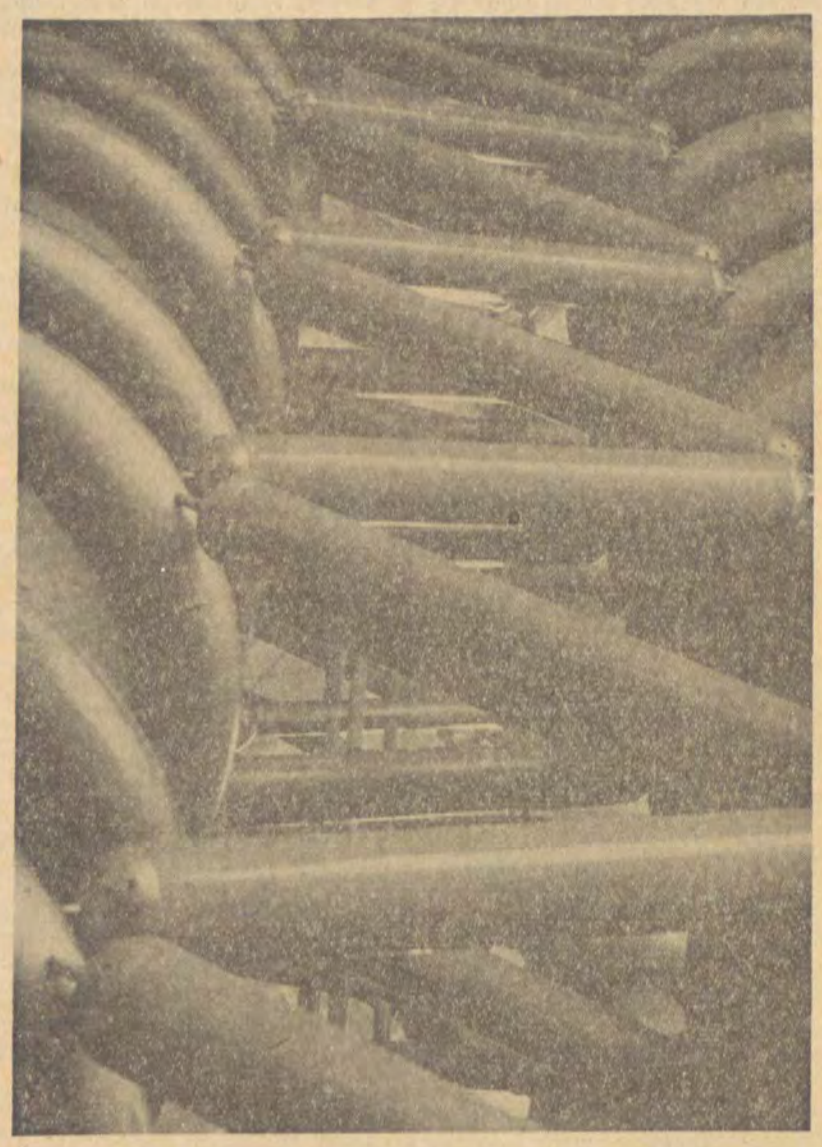

*Fot. E. Przybyłowicz*

W przemyśle maszynowym i elektrotechnicznym większość przedsiębiorstw zaproponowała przyjęcie jako wskaźnika syntetycznego — wynikowy poziom kosztów, stopę zysku lub kwotę zysku (Zakłady Mechaniczne im. J. Strzelczyka). Zdaniem aktywu przedsiębiorstw taki wybór wskaźników będzie maksymalnie mobilizował załogi do uzyskania optymalnych efektów ekonomicznych z równoznacznym zapewnieniem wysokich korzyści dla załogi.

Niektóre zakłady występują z propozycją wskaźnika syntetycznego, nieprzewidzianego w założeniach Komitetu Centralnego. Na przykład Zakład Ap. Elektrycznej „Elester" proponuje, jako wskaźnik syntetyczny — zysk kalkulacyjny. Propozycja ta została podyktowana faktem, iż zakład ten przeznacza poważną część swoich wyrobów na eksport i że zysk kalkulacyjny najbardziej odzwierciedla efekty pracy przedsiębiorstwa.

Jako zadania odcinkowe w przemyśle elektromaszynowym proponuje się: realizację zadań z planu postępu technicznego (we wszystkich przedsiębiorstwach z wyjątkiem Zakładów Mechanicznych im. J. Strzelczyka), obniżkę kosztów materiałowych (w większości przedsiębiorstw) oraz produkcję kooperacyjną.

Niektóre przedsiębiorstwa proponują, aby zadaniami odcinkowymi były również: wykorzystanie czasu pracy maszyn i urządzeń (ZM im. J. Strzelczyka), zmniejszenie braków produkcyjnych („Elester", ZM im. J. Strzelczyka, ŁZ Radiowe, F-ka Osprzętu Samochodowego), wydajność pracy („Wifama", „Majed", „Kopolmatex").

W aspekcie zaproponowanych przez Zakłady Mechaniczne im. J. Strzelczyka zadań odcinkowych nie do przyjęcia jest pominięcie zadania z zakresu realizacji planu postępu technicznego.

Jeśli chodzi o przemysł chemiczny i papierniczy, to w przedsiębiorstwach zgrupowanych w zjednoczeniach przemysłu: włókien sztucznych, celulozowo-papierniczym, przetworów papierowych i materiałów biurowych, proponuje się przyjęcie wskaźnika syntetycznego w formie kwoty zysku.

W przedsiębiorstwach zgrupowanych w Zjednoczeniu Przemysłu Gumowego proponuje się przyjęcie za wskaźnik syntetyczny wynikowy poziom kosztów, który najdokładniej odzwierciedla poprawę sytuacji ekonomicznej w poszczególnych przedsiębiorstwach.

Jako zadania odcinkowe w przedsiębiorstwach tych branż proponuje się: realizację zadań planu postępu technicznego, poprawę jakości produkcji, obniżenie zużycia kosztów materiałowych produkcji, podniesienie wydajności pracy oraz poprawę wykorzystania czasu pracy maszyn.

Generalnie biorąc, wybór wskaźników syntetycznych i zadań odcinkowych należy uznać za prawidłowy.

**— A jak przebiegała dyskusja w samych zjednoczeniach?**

— Zgodnie z wytycznymi Komitetu Centralnego PZPR we wszystkich zjednoczeniach przeprowadzono dyskusje. Jako zasadnicze zadanie odcinkowe przyjęto wykonanie planu eksportu.

Przyjmując powyższe zadania premiowe, zjednoczenia zwracają jednak uwagę na fakt, że uzyskanie wartości eksportu nie jest w pełni zależne od zjednoczeń, ale głównie od przedsiębiorstw i central handlu zagranicznego, że przeznaczenie produkcji na eksport zależy głównie od decyzji resortów, jako dystrybutorów wyrobów oraz koordynującej te sprawy Komisji Planowania przy Radzie Ministrów, że możliwości wzrostu eksportu są częstokroć ograniczane czynnikami niezależnymi od przemysłu i zjednoczenia oraz, że dość silne tempo wzrostu dostaw eksportowych możliwe będzie tylko w przypadku odpowiedniego przygotowania rynków zbytu przez centrale handlu zagranicznego. Konieczne byłoby więc uzależnienie CHZ od wyników ich pracy w tym zakresie.

**— Czy dyskusja nad założeniami zmian w systemie bodźców ekonomicznych toczy się także poza przemysłem?**

— W gałęziach gospodarczych, w których dyskusja nad założeniami reformy zapoczątkowana została zarządzeniem Prezesa RM przeprowadzono ją jedynie w zespołach powołanych przy zjednoczeniach i związkach spółdzielczych. Na przykład w państwowym przemyśle terenowym komisja zaproponowała jako wskaźnik syntetyczny — kwotę zysku, a w zadaniach odcinkowych — wydajność pracy, obniżkę kosztów, podniesienie jakości produkcji i usług. We wszystkich tych przedsiębiorstwach przyjęto maksymalnie cztery zadania odcinkowe.

Dyskusję nad założeniami zmian w systemie bodźców ekonomicznych podjęły również organizacje partyjne w budownictwie. Jako wskaźnik syntetyczny w przedsiębiorstwach Łódzkiego Zjednoczenia Budownictwa wysuwa się kwotę zysku, natomiast w przedsiębiorstwach budowlano-montażowych PL — wynikowy poziom kosztów. Jako zadania odcinkowe proponuje się: zadania z zakresu postępu technicznego, jakości produkcji, wykorzystania maszyn i urządzeń, przyśpieszenia cyklów budowy, podniesienia wydajności pracy.

**— Czy w trakcie dyskusji wyłoniły się jakieś problemy i niejasności, które wymagają dalszej konkretyzacji i uściśleń?**

— Problemów takich jest wiele, zarówno natury ogólnej, jak i szczegółowej, związanych z konstrukcją bodźców. Aktualnie są one wszystkie poddawane szczegółowej analizie. Podstawowym problemem, który wypłynął podczas dyskusji w wielu przedsiębiorstwach, jest sprawa bazowego funduszu premiowego. Oparcie bazy tylko o wyniki jednego roku może być nie zawsze uzasadnione, ponieważ przypadki losowe, zaistniałe niezależnie od przedsiębiorstwa, mogą wpływać na ukształtowanie się bazy z krzywdą dla załogi i ponadto będą się one odbijać niekorzystnie na podwyżkach płac przez następne lata.

Propozycje dotyczą również zmiany zasady zawartej w uchwale, a dotyczącej przekazywania kwot, potrąconych kierownictwu przedsiębiorstwa z tytułu sankcji za niewykonanie niektórych zadań, na fundusz podwyżek płac robotników. Propozycje te sprowadzają się do tego, aby fundusz ten przekazywano na fundusze socjalne dla załogi.

Ogół dyskutantów i koła zakładowe PTE uznają założenia nowego systemu bodźców za skomplikowane. Uważają także, iż system jest pracochłonny. Pojedyncze głosy w dyskusji postulują uproszczenia systemu nawet ze szkodą dla jego precyzji. Chodzi bowiem o zapewnienie mu komunikatywności.

Żywą dyskusję budzi kwestia równości startu. Przedsiębiorstwa dobrze pracujące mają mniejsze rezerwy, gorzej zaś pracujące — większe rezerwy.

Zwrócono uwagę, że w ślad za projektem zmian w systemie bodźców ekonomicznych, nastąpić winno rozszerzenie uprawnień konferencji samorządów robotniczych w zakresie zmian w systemie zadań odcinkowych w wypadku zmiany profilu produkcji, rodzaju surowca i innych warunków w porównaniu do roku bazowego.

Takich i podobnych uwag, które zostały zgłoszone w rzeczowej, obywatelskiej dyskusji, jest wiele. Wszystkie one zmierzają do uściślenia poszczególnych założeń, by w ten sposób zabezpieczyć jak najwyższą sprawność nowego systemu bodźców materialnego zainteresowania.

**Rozmawiał:**
**WŁODZIMIERZ STOKOWSKI**

---

**JÓZEF HENRYK WIŚNIEWSKI**

# Twarzą na kamień

1.

**Wciszy, która narosła po krzykach i wystrzałach, miasteczko wydawało się wymarłe. Znów rozległy się strzały i zaraz odezwało się głuche wycie psów. Do jeźdźców podbiegli jacyś piesi z karabinami. Jeźdźcy zsunęli się z sioder, zatknęli pistolety za pasy i oddali wodze tym, którzy nadeszli z ciemności. Szczęknęło żelazo, koń parsknął i tamci zaraz zniknęli w ciemnościach.**

**— Waluś, Waluś, słyszałeś?**

**— Cicho, Aniu, cicho — szepnął mężczyzna. Zauważyła w ciemnościach, jak sięgnął drżącą ręką pod poduszkę.**

**— Waluś, chyba przyszli po ciebie, pies się chce zerwać z łańcucha, o Jezu, Jezu, co teraz będzie...?**

**— Furtka zamknięta, zaparta drągiem, nie słyszałem, żeby kto pukał.**

**— Waluś, nie wychodź, boję się o ciebie, słyszysz?**

**— Zobaczę co się dzieje i zaraz wracam — powiedział niepewnie.**

**— Może zostań w komórce do świtu, jak przyjdą — powiem, że cię nie ma.**

**Był już zupełnie spokojny, gdy stanął przy drzwiach. Zza drzwi dobiegało szczekanie psa i nic poza tym. Wsunął nogi w cholewy butów, jeszcze chwilę nasłuchiwał, potem przekręcił klucz w zamku i otworzył gwałtownie drzwi. Szczeka nie psa buchnęło ze zdwojoną siłą.**

**— Jest tam kto? — rzucił w ciemności.**

**Odpowiadało mu tylko zajadłe szczekanie. Wyszedł. Wyjął papierosnicę, zapalił zapałkę, zaciągnął się i w tym momencie poczuł silny uścisk na gardle, ktoś chwycił go za ręce, inny zaczął obmacywać.**

**— W porządku — powiedział ten, który opróżnił mu kieszenie.**

**Skopany pies zaskowyczał i umilkł. Cała grupa przesunęła się za raz w pobliże komórki na przeciwległej stronie podwórka.**

**— Jak się towarzyszowi burmistrzowi układa robota? — zapytał ten, który stanął przed Piotrowskim.**

**Piotrowski milczał.**

**— No, jak, na wiecach tu umiałeś pyskować, teraz milczysz. — Trzasnął go na odlew w twarz.**

**— Co mam mówić — szepnął prawie — sami wiecie, jak jest. Ludzie nie mają co jeść, gdzie mieszkać, gdzie pracować, nie mają opału...**

**— To towarzysze radziecccy nie mogą im dać — zaśmiał się tamten ironicznie — Przecież to wasi przyjaciele.**

**— Sami musimy u siebie, swoim ludziom...**

**— Milcz, chamie, ostrzegaliśmy cię, dostałeś listy?**

**— Tak, dostałem, ale przecież...**

**— Towarzyszu, tu nie wiec, nie musicie nas agitować.**

**— Prędzej, do cholery — usłyszeli głos zza płotu.**

**Popchnęli go w stronę pieńka, zawadził o kłodę i upadł twarzą na kamień. Rozległy się dwa przytłumione strzały.**

2.

**Nadchodził jasny, majowy świt, gdy Anna Bralczyk wysunęła głowę zza uchylonych drzwi, miała pod puchnięte od płaczu powieki. Z nadzieją spojrzała w stronę milczącego psa, który obojętnie przewiesił łeb przez niski próg budy. Nagle dojrzała go. Przypadła do ciała. Jeszcze tlała w niej nadzieja, że on żyje. Odwróciła jego głowę do góry i dopiero wtedy spostrzegła, że z rozwalonej czaszki wypłynął już mózg. Zerwała się, podbiegła do zaryglowanej bramy, na ulicy krzyknęła rozpacznie — odpowiedziało jej głuche milczenie, jakby miasteczko nagle całe wymarło. Tylko ziemia zryta kopytami wskazywała, że niedawno działo się tutaj coś niezwykłego. Oszalała z rozpaczy kobieta biegła wzdłuż ulicy Łódzkiej, mijała zaryglowane furty, pozamykane okiennice, nigdzie nie spotkała żadnych oznak życia. Tu i ówdzie walały się rozbite naczynia i butelki, gdzieniegdzie sterczały żałośnie połamane płoty. W rynku kobieta zaczęła szturmować postrzelane drzwi posterunku MO.**

**— Ludzie, ludzie, ratunku, otwórzcie, Walusia zabili, to ja, otwórzcie, Piotrowski nie żyje...**

**Zza kraty wysunęła się lufa karabinu, potem mignęła czyjaś głowa za rozbitą szybą, której resztki sterczały w okiennych ramach.**

**— Kiedy go zabili? — zapytał mężczyzna.**

**— W nocy, w nocy zastrzelili go przy domu.**

**Drzwi odskoczyły i na zewnątrz wyjrzał mężczyzna z pistoletem gotowym do strzału, rozejrzał się szybko, potem zaczął biec wzdłuż murów. Drugi wyjrzał za nim, rozłożył bezradnie ręce: — Cóż my wam możemy pomóc, jest nas pięciu, mamy rannego. Przyjechali tu taką chmarą, że cały rynek zajęli — piesi, konni, tabory. Nas też ostrzelali.**

**— To ja już nigdy, nigdzie nie znajdę sprawiedliwości na tych bandytów. — Rozpłakała się. Tamci chwycili swego rannego i pobiegli wzdłuż murów.**

**— Musi być sprawiedliwość — krzyknęła kobieta, dopadła do telefonu i przez płacz zaczęła wywoływać Komitet Miejski PPR w Ozorkowie. Nie wiedziała sama czemu telefonuje właśnie tam, a nie do powiatu, może zrobiła to instynktownie, dlatego, że Ozorków to większe miasto?**

3.

**Po dwudziestu trzech latach z trudem przychodzi odtwarzać biografię człowieka, gdy nie zna się jego miejsca urodzenia, ani nikogo z bliskiej rodziny, gdy zostało tylko kilka osób, które go znały, które stykały się z nim przed wojną, czy po wojnie, wówczas kiedy potrzebowały jego pomocy.**

**Ze zdjęcia patrzy ku nam człowiek o płomiennym spojrzeniu, niski, z sumiastym wąsem, w długich butach i trochę staroświeckim surducie. Był działaczem PPS-Lewicy. Z ruchem robotniczym związał się w latach młodości. Przed wojną osiadł w Poddębicach Był niezależny, miał skromny warsztat szewski. Dlatego też jemu właśnie towarzysze powierzali organizowanie manifestacji pierwszomajowych, on organizował wiece i zgromadzenia, walczył przeciw tym, którzy chcieli faszyzacji kraju, wiódł prym w ciężkich na tym terenie walkach klasowych. Był jednym ze współzałożycieli pierwsze**

JURIJ LIMONOW

# Lenin jako historyk

Włodzimierz Iljicz Lenin którego setną rocznicę urodzin obchodzimy w bieżącym roku, był nie tylko przywódcą Rewolucji, wybitnym działaczem państwowym i politykiem. Jego dzieło posiada kapitalne znaczenie dla nauk filozoficznych, historycznych, socjologicznych i ekonomicznych. Jego monograficzne studia, takie, jak: „Rozwój kapitalizmu w Rosji", prace dotyczące problemu agrarnego, „Imperializm jako najwyższe stadium kapitalizmu", „Materializm i empiriokrytycyzm", „Państwo i Rewolucja", „Statystyka i socjologia" — by nie przytaczać tu innych — stanowią doniosły wkład do najszerzej rozumianej historii społecznej. Szczupłe ramy artykułu nie pozwalają nam na dokonanie pełniejszej analizy leninowskiej spuścizny z zakresu nauk społecznych i bardziej wnikliwą charakterystykę leninowskiej metody badawczej. Zastanowimy się tedy jedynie nad problematyką leninowskiej metody badań historycznych.

Wszelkie badanie historyczne opiera się o analizę tzw. faktów historycznych, to jest informacji o przeszłości, zanotowanych w zachowanych źródłach historycznych. Oczywiście faktów tych w procesie dziejowym było znacznie więcej niż ich przechowały źródła. Okoliczność, że to historyk — badacz odnajduje fakt historyczny w źródle, stała się dla licznych burżuazyjnych metodologów historii okazją do sformułowania koncepcji subiektywistycznych poznania historycznego. Lenin zawsze podkreślał obiektywizm historycznego poznania. Jego teoria historycznego poznania opierała się o uznanie obiektywnego charakteru historycznego procesu, a co za tym idzie i historycznego faktu. W związku z tym pozostaje ważne spostrzeżenie W. I. Lenina, wypowiedziane na temat książki znanego historyka M. N. Pokrowskiego „Historia Rosji w najkrótszym zarysie", jednej z pierwszych marksistowskich syntez dziejów Rosji. Proponując wydanie tego dzieła jako podręcznika, Lenin podkreślał, że uważa za niezbędne opatrzenie go indeksami chronologicznymi i tematycznymi; podkreśla przy tym konieczność szczegółowego poznawania historycznych faktów. W liście do M. N. Pokrowskiego z 5 grudnia 1920 roku pisał on:

„Uczący się winni znać zarówno waszą książkę, jak i indeks aby nie było tu powierzchowności, aby znać fakty, aby uczyć się porównywać dawną naukę z nową".

Analizując wydarzenia i zjawiska polityczne jak i społeczne W. I. Lenin w oparciu o teorię obiektywizmu historycznego poznania badał je w kontekście obiektywnego uwarunkowania historycznego. W bardzo interesującym, lecz niestety nie ukończonym artykule „Statystyka i socjologia" Lenin pisał:

„W dziedzinie zjawisk społecznych nie ma chwytu bardziej rozpowszechnionego i bardziej niewłaściwego niż wyłowienie poszczególnych fakcików, zabawa w przykłady. Dobrać fakty w ogóle — to nie sprawia żadnych trudności, ale też nie ma żadnego znaczenia, lub ma znaczenie czysto negatywne, wszystko bowiem zależy od konkretnej sytuacji historycznej poszczególnych przypadków. Teksty, jeśli się je bada w ich całokształcie, w ich związku wzajemnym, są rzeczą nie tylko „upartą", ale też bezwzględnie przekonywającą. Fakciki, rozpatrywane bez uwzględnienia całokształtu, uwzględnienia związków, oderwane i dobrane dowolnie, są właściwie tylko zabawką albo czymś jeszcze gorszym".

W tym samym czasie Lenin, badając fakty historyczne w ogólnym łańcuchu zjawisk, nie stawiał znaku równania między faktami drugorzędnymi, a faktami wychodzącymi poza ramy zwykłych zjawisk. Innymi słowy Lenin zajmował się klasyfikacją faktów. Z ogólnej masy informacji wydobywał on główne, podstawowe, te, które charakteryzują lub określają historyczne lub polityczne zjawiska. W ten sposób dokonywał on wyboru materiału historycznego. Ale wybór ten powinien dokonywać się, zdaniem Lenina, z pozycji historycznego obiektywizmu:

„Wydarzenia polityczne są zawsze bardzo pogmatwane i skomplikowane. Można je porównać z łańcuchem. Aby utrzymać cały łańcuch, należy uchwycić za podstawowe ogniwo. Nie wolno sztucznie wybierać sobie tego ogniwa, za które chcesz się zaczepić".

Z ogromną uwagą i wnikliwością odnosił się Lenin do źródeł, z których czerpał fakty historyczne i materiały. Można tu podkreślić dwie charakterystyczne cechy prac Lenina: po pierwsze — dążenie do ogarnięcia możliwie jak największej ilości źródeł historycznych i po drugie — bardzo wnikliwy i krytyczny do nich stosunek, pozwalający na najbardziej obiektywne podejście do zawartych w nich informacji. Mówiąc o tej zdolności do szerokiego ogarnięcia materiału, cechującej leninowskie badania historyczne, nie wolno nie wspomnieć o jednej z pierwszych fundamentalnych prac Lenina: „Rozwój kapitalizmu w Rosji". W monografii tej Lenin wykorzystał około 500 pozycji prac i materiałów z dziedziny historii i ekonomiki Rosji. Podstawą pracy Lenina stał się w ten sposób ogromny materiał statystyczny. Do tej gałęzi informacji historycznej Lenin podchodził ze szczególną uwagą, traktując ją jako jedną z najważniejszych. Bardzo dobrze znał on materiały statystyczne nie tylko Rosji, lecz także Stanów Zjednoczonych, Anglii, Niemiec, Austro-Węgier, Szwajcarii, Danii itd. Dążenie do najpełniejszego i najbardziej obiektywnego ujęcia ekonomicznego i historycznego rozwoju społeczeństwa doprowadziło Lenina do dokładnych obliczeń, do systematycznej pracy nad materiałem statystycznym. Jedna z wypowiedzi Lenina określa właśnie jego stosunek do tego typu informacji. I tak w liście do matki z 2 kwietnia 1902 roku prosił on o przesłanie mu za granicę książek i „całej statystyki, za którą zaczynam trochę tęsknić i myślę, aby ją całą poprawić". Jak widzimy, Lenin z należną uwagą odnosił się do materiału statystycznego, chociaż daleki był od jego fetyszyzacji.

Niezmiernie krytycznie odnosił się Lenin także i do materiału historiograficznego oraz do źródeł narracyjnych (tj. nie dokumentalnych). Zestawiał te źródła, niekiedy przeprowadzał porównania ich tekstów. Tak więc przy analizie pracy carskiego dygnitarza, Wittego — „Zapiski o ziemstwie", Lenin ustalił, że ten ostatni wykorzystał cudze dane bez wskazania autora. Z tego powodu Lenin czynił ironiczną uwagę: „Autor memoriału p. Witte dość często nie wskazuje, iż ściąga z Dragomenowa". Nie lekceważył Lenin i ustnych informacji. I tak właśnie na ich podstawie wspominał on o jednym z aktywnych działaczy organizacji „Ziemla i Wola" — C. Rymarence. Zupełnie niedawno zostały odnalezione dokumenty archiwalne, potwierdzające leninowską charakterystykę tego rewolucjonisty. W okresie, kiedy pisał o nim Lenin, nie istniały jeszcze żadne drukowane materiały, z których mógłby skorzystać. Informację ustną o Rymarence Lenin mógł otrzymać z różnych źródeł. Jednym z nich mogło być opowiadanie J. N. Ulianowa, który znał członków organizacji „Ziemla i Wola". Mogła też wiedzieć o Rymarence matka żony Lenina, W. Krupska. Jej mąż, ojciec N. K Krupskiej, Konstanty Ignatowicz Krupski, był członkiem oficerskiej organizacji „Ziemla i Wola", sprzyjał Powstaniu Styczniowemu w 1863 roku, był uczestnikiem ruchu oficerów rosyjskich w Polsce.

I wreszcie na zakończenie odnotujemy najważniejszą zasadą leninowskiej metodologii historycznej — zasadę partyjności.

„Cała istota marksizmu — wskazywał on — cały jego system wymaga, aby rozpatrywać każdą sytuację tylko: a. historycznie, b. tylko w związku z innymi, c. tylko w związku z konkretnym, historycznym doświadczeniem".

Zasada partyjności w rozumieniu Lenina staje się więc prawdziwie naukowym, dialektyczno-materialistycznym wyjaśnieniem rzeczywistości. Zasada ta w badaniu zjawisk społeczno-historycznych przeciwstawia się zarówno burżuazyjnemu obiektywizmowi jak i subiektywizmowi.

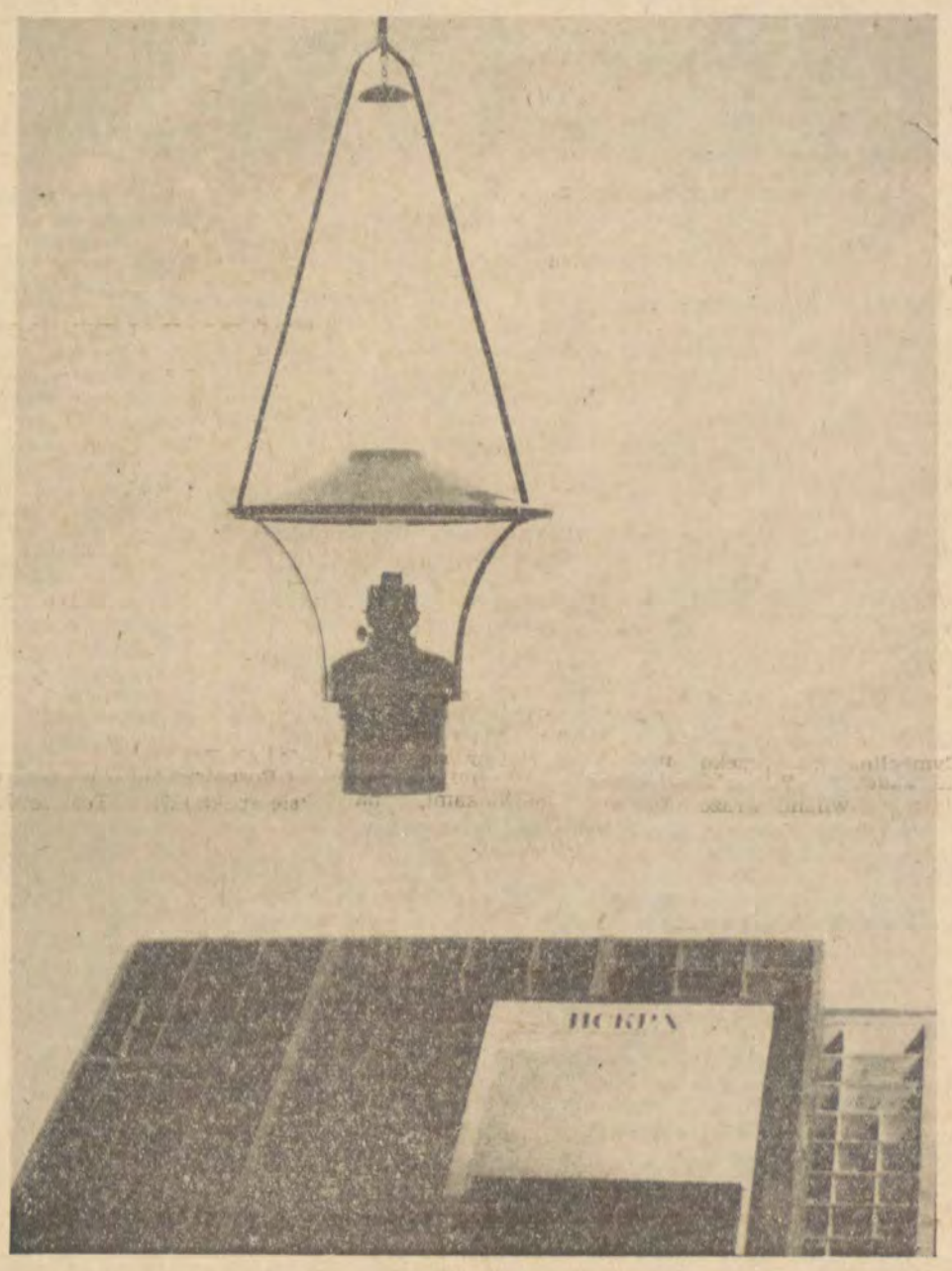

**go w Poddębicach Związku Zawodowego Budowlanych, Ceramików i Zawodów Pokrewnych. Dziś może się wydawać to trochę dziwne, przecież był szewcem. Ale właśnie dlatego mógł on zajmować się organizowaniem ruchu związkowego, bo nie groziły mu represje ze strony pracodawców. Nie miał też na utrzymaniu rodziny i nie musiał obawiać się aresztowania, jak ci obarczeni żonami i dzieciarnią. Do jego warsztatu często zaglądali żądni nowinek robotnicy, bo Walenty Piotrowski, choć nie miał wykształcenia, wiele czytał, dokształcał się sam.**

**Gdy Niemcy wkroczyli do Poddębic — Piotrowski zniknął na pewien czas, ukrywał się. Później wrócił do miasteczka, ale udało mu się jakoś przetrwać wojnę. W ostatnim roku wojny przygarnął Annę Bralczyk, która wracała okaleczona z hitlerowskiego obozu. Zajął się nią. Obiecywał jej małżeństwo, którego nie mógł zawrzeć w czasie okupacji, bo nie był pewien, czy kobieta, którą gorąco pokochał, jest wolna. Ona sama tego nie wiedziała. Mąż jej został aresztowany wkrótce po wkroczeniu hitlerowców i ślad po nim zaginął. Niektóre osoby twierdziły, że już od dawna nie żyje.**

**W lutym 1945 roku Walenty Piotrowski założył w Poddębicach komórkę PPR. Do partii wstąpiło wtedy ponad 200 osób. Zaraz też przystąpił on do organizowania Milicji Obywatelskiej i objął funkcję wiceburmistrza. Był duszą życia społecznego Poddębic. Miasto było zniszczone podczas działań wojennych. A tu w pierwszych dniach wolności trzeba było zająć się losem kilkutysięcznej rzeszy ludzi, których hitlerowcy ściągnęli nad Wartę do kopania rowów przeciwpancernych. Z zachodu wracali robotnicy wywiezieni na roboty, wracali też wysiedleńcy z GG, którym trzeba było oddawać ich dawne mieszkania.**

**Piotrowski bywał gościem we własnym domu, sam nie dojadał, często chodził nie wyspany, nie przestrzegał godzin urzędowania, gdy zachodziła potrzeba — wędrował do magistratu albo do miasta nawet w nocy. Sam nie dojadał, ale dla innych musiały być przydziały — wspomina stara kobieta z wyrzutem.**

**4.**

**„Groźny", „Orzeł", „Paweł", „Abażur 101" — to dziś już tylko słowa. Wtedy na ich brzmienie ludzie drżeli; występowali z MO, albo ukrywali swą działalność. Za tymi nazwami, za nazwiskami stały szeregi ludzi zdolnych do zabójstw, gwałtów, grabieży, ludzi zbrojnych i okrutnych. Pierwszy raz najechali Poddębice już jesienią 1945 roku. Wyszli z pobliskich lasów, sterroryzowali miasto, wzięli co się dało, straszyli. Piotrowskiego zaskoczyli w pobliżu młyna. Nie ukrywał przed nimi swej przynależności partyjnej, ani funkcji. Kazali mu drapać mur. Zdarł paznokcie do krwi. Bili go. Obiecali, że zabiją, jeśli nie zaprzestanie działalności. Usiłował im tłumaczyć, że pracuje dla dobra mieszkańców miasteczka, myślał jeszcze wówczas, że będą w stanie zrozumieć go. W odpowiedzi otrzymał serię ciosów, które zwaliły go z nóg. Gdy po tym spotkaniu z bandą przywlókł się do domu, ludzie namawiali go do zaprzestania roboty.**

**Odpowiadał im, że już jest po wojnie, że trzeba pracować, że każdy jest odpowiedzialny za swoją robotę. Chyba wtedy jednak przyjął pistolet, którego nie chciał przyjąć wcześniej. Potem najeżdżali miasto jeszcze kilka razy. Rozpędzali posterunek MO. Ludzie, sterroryzowani i zastraszeni, zaczęli się wycofywać z przyjętych na siebie obowiązków. Żądali pomocy. Piotrowski musiał ich przekonywać, że kraj jest w ogniu walki, że brak żołnierzy, którzy mogliby osłonić ich przed bandami.**

**5.**

**Anna Bralczyk nie dodzwoniła się do Ozorkowa w dniu, w którym dokonano zabójstwa. Linie telefoniczne były pozrywane, banda działała precyzyjnie. Maj był wtedy upalny. Dopiero piątego dnia przyjechała ekipa z Ozorkowa. Przyjechał sekretarz PPR, towarzyszki z zakładów włókienniczych, spory oddział KBW. Przywieźli trumnę i zajęli się pogrzebem.**

**Zapytali Annę Bralczyk, czy chce księdza.**

**— Chcę — powiedziała po chwili. — Waluś do kościoła nie chodził, ale ja chcę. Ksiądz chyba przyjdzie, bo Waluś, kiedy się u niego ksiądz zjawił, oddał mu swoje krzesło, talerze, łyżkę, przydział żywności. Waluś litował się nad nim, bo ksiądz przyjechał z wysiedlenia goły.**

**— Nie — odpowiedział ksiądz — nie pójdę na pogrzeb, bo Piotrowski umarł w grzechu — był „wiarusznikiem".**

**Jakiś wojskowy nie wytrzymał, chciał go zmusić do obrzędów. Ale Anna odmówiła, teraz ona nie chciała pogrzebu z księdzem.**

**Pogrzeb był bardzo uroczysty. Przemawiał sekretarz KM PPR z Ozorkowa, przemawiali oficerowie KBW, przemawiali przedstawiciele z ozorkowskich fabryk. W niebo gruchnęły salwy kompanii honorowej. Ale miejscowi bali się uczestniczyć w pogrzebie. Przyszło zaledwie kilka osób, najwierniejsi towarzysze walki Walentego Piotrowskiego. Dopiero w pół roku później członkowie PPR urządzili składkę na pomnik, który stoi na cmentarzu do dziś.**

**6.**

**Latem 1946 roku mieszkańcy Poddębic znów usłyszeli strzały pod lasem w okolicach Prawęcic. Ale towarzyszył temu szum motorów. Od ważniejsi widzieli duże oddziały w zielonych mundurach. Wkrótce poszła po ludziach wieść, że pięciu bandytów leży pod lasem. Samochody wojskowe przez jakiś czas przemierzały ulice miasteczka i drogi polne. Lasy niosły echa gęstej, dalekiej strzelaniny. A gdy wszystko ucichło, ludzie mogli odetchnąć, dowiedzieli się, że bandy zostały rozbite. Skończyło się bezprawie i terror.**

**Przybysz, który wjeżdża do Poddębic od strony Aleksandrowa, ma w pierwszej chwili uczucie, jakby go przeniesiono w plener Dzikiego Zachodu. Wzdłuż ulicy Łódzkiej stoją niskie, parterowe, albo piętrowe domki. Miasto leży w dolinie, z dala, na horyzoncie czernieją kreski odległych lasów. Tak wyglądało to i wtedy w 1945 czy 1946 roku. Dziś jednak w bocznych ulicach stoją rzędy nowych bloków. Nad jakimś budynkiem wznosi się wysoki maszt krótkofalówki. Dachy roją się od anten telewizyjnych. Tu i ówdzie widać charakterystyczny bałagan, ślad robót budowlanych. Wtedy nie było w Poddębicach wielu budynków, nie było szkół, fabryki, POM-u. Trudno by za jednym zamachem wyliczyć to wszystko. Na okolicznych polach nie było rowów melioracyjnych.**

**— Cieszyłby się Walenty Piotrowski, gdyby żył?**

**— O, tak, już wtedy wiedział, że tak będzie, mówił mi o tym, stale mi mówił o nowych szkołach, marzył o nich zawsze.**

MARIA SZANIAWSKA-CZARNOCKA

## Na śmierć Jerzego Szaniawskiego

W scenerii ogłuchłych pomników
pisał się finał
niedomówieniem
tych słów co zawisły
na smutnym niebie
zanim dotknęły
ziemi
Odchodził...
wołany tęsknotą „dziecięcej krucjaty"
co szła z barykad
tu na Powązki
„ze słabą i śmieszną nierówną bronią"
w historię Polski
Odchodził...
w dal poetycką
z swym „chłopcem z deszczu"
a krople marcowe marzły na trumnie
róż bielą wiotką, umarłą
z gestem zastygłym
wpółteatralnym
Odchodził...
od ludzi
a „Ptak" cudowny barwami marzeń
błyskami złudy
nie chciał odlecieć
Potrzeba legendy złotą kotwicą
wiązała go tu
gdzie żył kapitan Nut
Odchodził...
na tamten brzeg
teatru snów.

TADEUSZ GICGIER

## Czechowicz

między niebem a ziemią jedno jest tylko głowa
człowieczy kwiat

przez nią srebrne pasemka wiatrów przefruwają
prześmigają jaskółki nadrzeczne
żal

wonne ranne muzyki
dzwonne szklanne słowiki

obłoki przyjaciele pastuszego świtania
biały wioskowy wieniec u strzech i kalenic
modre grania złote błyskania
między niebem a ziemią

siano pachniało snem

biegnę biegnę jak życie człowiecze
razem witam i razem już żegnam
podwójny urok rzeczy
jaskółki nadrzeczne
te czarne błyskawice z nimi się pojednam

nocami spod ramion krzyżów na rozdrogach
sypie się gwiazd błękitne próchno
księżyc idzie srebrne chusty prać
świerszczyki świergocą w stogach
czegóż się bać

mnie nie pod krzyżem spać
mnie jak dmuchawiec zdmuchną

czujnie czatuję rankiem przy oknie
kiedy kwiat spadnie w kałużę ogniem

nad parowozem dym białe kwiaty
słońce złotym sztandarem powiewa
ostajcie zdrowo matuś

wichrze popielny czyś po to wiał
by imię moje zetrzeć ze skał

skręcają się jak muskuł elipsy ciemności półzmroku
zmieniło się niebo blade
w jaskrawy prześwietlisty hangar

dudni dnia lazurowy kamień
nie słychać już biegnących baranków

o żniwa żniwa huku i blasków

wiruje izba
w tańcu szalonym

już świeci czarny zygzak
zburzonego domu

ballada z tamtej strony

MAREK WAWRZKIEWICZ

## Na temat z Iwaszkiewicza

Już gaśnie krew i oddech już zachodzi
Murszeje kamień Wiatr w przelocie więdnie
W płomieniach stoją uschnięte gałęzie
I wczesna zima nadciąga jak powódź

Wołałem cię rano Jeszcze nie otarty
Z majaków bezrozumnych O tobie krzyczałem
Ktoś inny odpowiadał Lub mi się zdawało
Może to sen był tylko pragnieniem przedarty

Puste ogrody po nas O nas odlatują
Ptaki polne i błotne O nas kwiaty umrą
Zostanie tylko słów zbyt łatwa czułość

Czasie nienarodzonych Czasie niepotrzebny
Jak dożyć do wieczora Jak doścignąć północ
Zimne światło Dzień biały Utopmy się we dnie

## Zakończenie podróży

I już mogę napisać ten dalszy ciąg wiersza
Zaczętego od słów
Kochałem cię nocą
Długą nocą bez świtu
Teraz właśnie widzę
Niecierpliwość podróży dalekiej nad ranem
Gdy krótkie skrzydła sekund
Kiedy ślepe ćmy.
I już mogę powiedzieć gdy podróż skończona
Tamto wszystko o twoim podskórnym królestwie
Kiedy doń przybijały wreszcie moje ręce
W gniewie choć bez oręża
W wojnie choć bez krwi.
I teraz masz nareszcie
Obolałe ze snu
Oczy
na pożegnanie niezdobytych lądów
Ten wiatr ogromny co przez wiersze wieje
Zasypie martwym piaskiem wątły stopy ślad.
I na koniec raz pierwszy mogę dopowiedzieć
Ten suchy las żalu z groźną iskrą krwi
Która płonie i która nie grozi pożarem
I która nie spopieli ni lasu
ni nas.

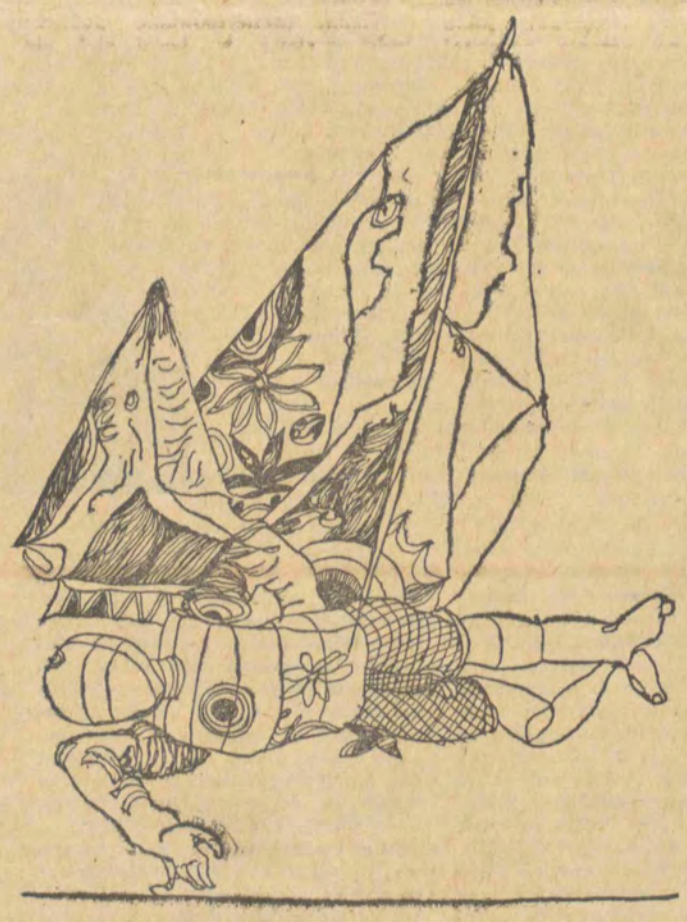

*Rys. E. Inglot*

★
★ ★

Już ciebie i mnie roznoszą śmiertelne gołębie
Po martwych śniegach szarych polach chmur
Byłaś jeszcze wczoraj a dziś nie ma cię tu
Jest tylko w nas ta kropla gorzka
Żal że nigdy więcej

Pewnie tak właśnie trzeba Powiem „Do widzenia"
Podasz mi rękę albo pocałujesz w usta
I — to n a s z e — rozniosą gołębie w przestrzeniach
I nic się nie stanie
Wciąż ta sama pustka

DOROTA CHRÓŚCIELEWSKA

★
★ ★

Nad oceanem muchy takie same
jak u nas w polu
A w Neapolu fiołki zrywane
cuchną w pokoju
Uskrzydlona pożółkłą firanką
czekam u okna
Może będę wiersze pisać gdy
zdołam gwiazdy w bukiety związać

Może będę wiersze pisać znów
Boże nic się a nic nie wydarzy
Kiedy gwiazdy eksplodują w ręce
wyfruwają poeci oknem
Mróz na szybie szkicuje gołębie

Niepokoju więc sypnij mi w oczy
trzeźwe piaskiem transkontynentalnym
Za warkocze mnie mocno targnij
To dla ciebie zbiegłam z drogi mlecznej
i za tobą nim bukiet gwiazd zwiędnie
niepokoju chłopaku waleczny
uskrzydlona firanką pobiegnę

z obcęgami
bo jakże inaczej
życia sobie odłamać kawał
z pazurami
bo jakże ucapić
wiersz inaczej
by za mnie kłamał

EWA FILIPCZUK

★
★ ★

**Uwierzyłam**
**żeby zostać kobietą**
**trzeba poznać ręce chłopców tych dzieci**
**i oddawałam im**
**centymetr po centymetrze**
**uśmiech po łzach**

**i kiedy niechcący**
**chłopcy przemienili się w mężczyzn**
**płakali**
**albo bolało ich serce**
**obojętnie**
**czekałam na nowe ręce dzieci**
**tworzyłam wielu mężczyzn —**

KRYSTYNA WIŚNIEWSKA

★
★ ★

miłość do ciebie
najgorętsze niebo tkliwości
niebo
do którego odwracam twarz
przez pocałunki
którego — dotykam
w wirującym pokoju
między brzegami szeptu
i pragnienia
w pieszczotach cichych od szczęścia
w ogniu ramion
uśpiona

nie wiesz
jaki świat musiałam przemierzyć
zupełnie sama
poprzez drogi znużenia
i kolczasty las nocy
aby odnaleźć ciebie

uśmiech
różą wyrosły

i te ogromne słońca
zaklęte
w oknach domu

## POLONICA

### W DWÓCHSETLECIE URODZIN HÖLDERLINA

Dwieście lat temu, w 1770 roku urodził się wybitny niemiecki poeta, Johann Christian Friedrich Hölderlin. Zafascynowany literaturą grecką i jej ideałami oraz hasłami rewolucji francuskiej tworzył piękne, klasyczne w formie utwory o patriotycznej, humanistycznej i jednoczesnie rewolucyjnej treści. Samotny i nie doceniany przez współczesnych, mając lat 36 zapadł na chorobę psychiczną i nie odzyskawszy zdrowia zmarł w roku 1843. Dziś stawiany jest w jednym rzędzie z wielkimi klasykami niemieckiej literatury takimi jak Goethe i Schiller.

Hölderlin pozostawił po sobie liczne dzieła. Do najwybitniejszych należą: romans w listach pt. „Hyperion czyli eremita w Grecji", nie dokończony dramat pt „Empedokles" i „Wiersze" (1826).

W dwóchsetną rocznicę urodzin poety wydano ostatnio w Związku Radzieckim tom przekładów wierszy i prozy Hölderlina.

★

### NOWE DZIEŁO PENDERECKIEGO

Nasz największy współczesny kompozytor Krzysztof Penderecki oczekuje premiery swego nowego dzieła „Msza Rosyjska". Oratorium przygotuje i poprowadzi Andrzej Markowski, udział wezmą: Stefania Woytowicz, Krystyna Szczepańska i Bernard Ładysz. Prapremiera światowa odbędzie się w kwietniu, w... Kolonii (NRF). Jest to więc kolejna prapremiera dzieła Pendereckiego, mająca miejsce za granicą. Warto przypomnieć, że „Diabły z Louden" jeszcze się w Polsce nie doczekały wystawienia. (t)

## POLONICA

IGNACY GUSTAW ROMANOWSKI

# Manchester Lozanna i co dalej?

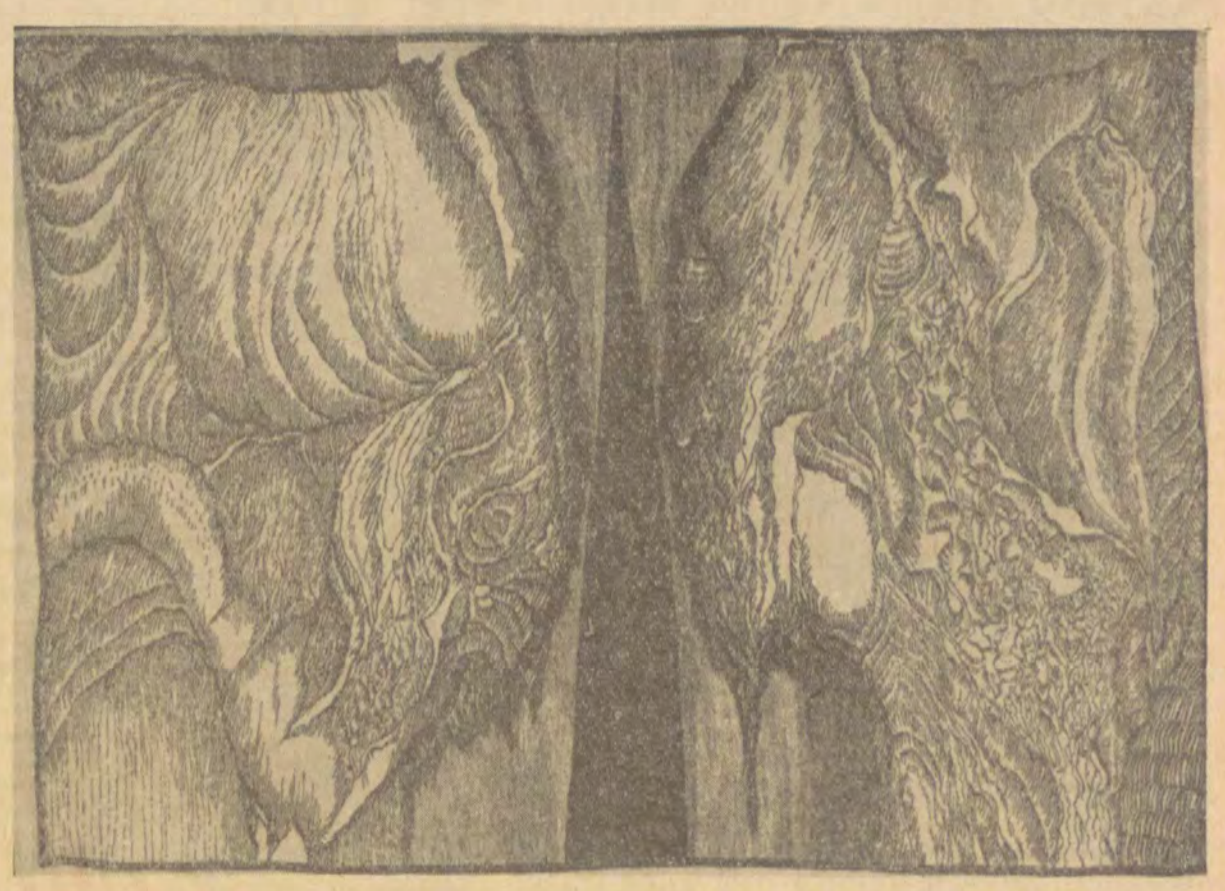

*Janina Tworek-Pierzgalska „W samo południe" — Gobelin*

**Równo przed rokiem mieliśmy w Łodzi imprezę artystyczną, której rozmach i rozmiar nie miały tu równych w swoim rodzaju. Wydaje się również, że chyba nigdy w kraju sztuka użytkowa nie dostąpiła tak bogatej i świetnej prezentacji, jak w kwietniu 1969 roku. Myślę tu oczywiście o ubiegłorocznej ogólnopolskiej wystawie pt. „Polska sztuka użytkowa w 25-leciu PRL" i związanej z nią łódzkiej ekspozycji tkaniny unikatowej i przemysłowej.**

**Wystawa ta była zaprzeczeniem uporczywie powtarzanej opinii, że w Łodzi nie można zorganizować żadnej większej ekspozycji plastyki, bo stoi temu na przeszkodzie brak odpowiednich pomieszczeń wystawowych. Nikt, rzecz jasna, nie twierdzi, że sprawa budowy galerii w Łodzi nie ma dla środowiska artystycznego pierwszorzędnego znaczenia. Jest to sprawa znana: galeria jest niezwykle potrzebna — podobnie jak potrzebny jest dziś Teatr Wielki.**

**Jednakże brak galerii i oczekiwanie na jej budowę, nie może uzasadniać pewnego pesymizmu i zastoju w organizowaniu dużych imprez artystycznych w zakresie plastyki. Tylko bowiem wielkie ogólnopolskie imprezy tworzą atmosferę, po której poznaje się czy jakieś miasto znaczy coś na mapie artystycznej kraju. Dlatego zastanowienie się nad celem i możliwościami, jakie daje szansa powtarzania podobnej wystawy co 2 lub 3 lata, znajduje swój sens.**

**Wprawdzie łódzka wystawa tkaniny była pomyślana jako fragment w cyklu wystaw sztuki użytkowej, jakie odbywały się w kwietniu ubiegłego roku w różnych miastach Polski, ale wystawa ta posiadała szczególny walor dla Łodzi. Bo ani Gdańsk, gdzie eksponowano projekty wnętrz, ani Lublin, gdzie eksponowano formy przemysłowe, ani Wrocław (ceramika i szkło), ani Poznań (meble), ani Warszawa (projekty wystawiennicze) — nie są w takim stopniu związane z prezentowanymi działami sztuki użytkowej, jak właśnie Łódź — z tkaniną. Truizmem jest tu przypomnienie, że Łódź jest miastem włókienniczym z tradycjami sięgającymi początku ubiegłego wieku; że dziś jest siedzibą wszystkich zjednoczeń przemysłu włókienniczego i licznych zakładów przemysłowych tej branży, siedzibą Zarządu Głównego Związku Zawodowego Włókniarzy i jedynego w kraju Muzeum Historii Włókiennictwa. W Łodzi ukonstytuowała się ponad 200-osobowa Sekcja Projektowania Przemysłowego ZPAP.**

**Brak okazji do jednoczesnego prezentowania publiczności i tkaniny unikatowej (gobeliny, żakardy, dywany) i wzorów przemysłowych przeznaczonych do produkcji seryjnej — uczynił ubiegłoroczną wystawę mierzikiem potrzeb społecznych w tym zakresie.**

**Wielkie zainteresowanie publiczności wystawą w Łodzi, stało się bodźcem do pokazania jej następnie w Moskwie (tkaniny unikatowe) i w Manchesterze (tkaniny unikatowe, przemysłowe oraz projekty). Szczególnie wystawa tkaniny w Manchesterze w październiku 1969 r., której formalnym organizatorem była Polska Izba Handlu Zagranicznego a komisarzem i projektantem — podobnie zresztą jak w Łodzi — Jerzy Frątczak, została oceniona przez brytyjskich znawców bardzo wysoko, co należy odnotować jako poważny sukces polskich projektantów. I choć stanowiła w zasadzie uzupełnienie wielkiej wystawy polskiego przemysłu w ramach tzw. „Dni Polskich", w Anglii — stała się pełnoprawnym wydarzeniem artystycznym. I to mimo faktu, że przecież polska tkanina wcale nie jest nie znana w zachodniej Europie, ponieważ korzysta z prezentacji handlowych organizowanych przez „Desę" i łódzkie Muzeum Historii Włókiennictwa. Entuzjastyczne recenzje, jakie ukazały się w prasie brytyjskiej o polskich gobelinach, dywanach, tkaninach malowanych i aplikowanych — okazały się jeszcze jednym potwierdzeniem wysokiego poziomu artystycznego naszego włókiennictwa. Poziomu zresztą nie kwestionowanego przez nikogo.**

**Potwierdza to inna impreza — Biennale Gobelinu w Lozannie, gdzie polskie tkaniny artystyczne cieszą się tak wielkim powodzeniem, że nadają ton szwajcarskiej ekspozycji.**

**Dziwić więc może tylko brak większej propagandy polskiego tkactwa artystycznego w kraju. Szczególnie przydałoby się w swoim czasie więcej informacji o wystawie manchesterskiej w Łodzi — skoro gros wystawiających tam — to plastycy-włókiennicy związani na stałe z łódzkim środowiskiem. Tymczasem prasa łódzka nie odnotowała tej imprezy, nie wykorzystując tym samym świetnej okazji do dalszego popularyzowania tkactwa artystycznego.**

**Tkanina cieszy się wszędzie coraz większym zainteresowaniem, popyt na gobeliny i żakardy artystyczne stale rośnie. We wnętrzarstwie tkanina wypiera coraz bardziej inne formy plastyki. Można to potraktować jako sygnał wykorzystania szansy, która mogłaby uczynić Łódź prawdziwym centrum polskiego włókiennictwa artystycznego. Tą szansą byłoby organizowanie w Łodzi bienale (lub może triennale) tkaniny artystycznej, przynajmniej o charakterze ogólnopolskim, choć poziom polskiego włókiennictwa kwalifikuje się, aby nadać takiej imprezie charakter międzynarodowy. Oczywiście — impreza powinna mieć również pewien profil handlowy i łączyć wystawę z giełdą. Można byłoby połączyć wystawę tkaniny z pokazem mody, tak jednak, aby nie umniejszyć poziomu artystycznego całego przedsięwzięcia.**

**Szansę tę powinniśmy wykorzystać, dopóki jeszcze nikt nas nie uprzedził. Poza wspomnianym już Biennale Gobelinu w Lozannie, tkanina nie posiada jeszcze wielkich imprez artystycznych o charakterze cyklicznym. Sądzę, że znaczenie takiego projektu, który narodził się w środowisku łódzkim, jest niebagatelne. W przypadku urzeczywistnienia impreza taka może przynieść dla Łodzi poważne artystyczne osiągnięcia i korzyści. Byłaby to jednocześnie pierwsza cykliczna prezentacja sztuki użytkowej w kraju i jedna z niewielu tego typu na świecie.**

**Możliwość realizacji tego projektu, który dla łódzkiego środowiska artystycznego posiada charakter istotnego zamierzenia artystycznego — pozostawmy zainteresowanym władzom i instytucjom. Łódź nie jest gorsza od Manchesteru i Lozanny.**

*Przeszłość i teraźniejszość*

# Kłopoty z Napierskim

„Nie przeszedł (...) Kostka do tradycji Podhala jako ten, którego panowie wbili na pal, bo walczył o chłopskie prawa. Ani on, ani nawet Marszałek nie stali się legendarnymi bohaterami, o których opowiadano gadki góralskie. Kiedy po dwudziestu latach, w 1670 roku, w tych samych okolicach Nowego Targu i Myślenic doszło do ponownych wystąpień chłopów i górali, nie nawiązano ani jednym słowem do tradycji 1651 roku, przynajmniej źródła o tym milczą. Darmo by szukać ludowych pieśni o Kostce, Martinusie i Marszałku. „Nie było ludowej legendy o Napierskim, bo jej być nie mogło. Człowiek, który kreślił się raz „Aleksander Leo ze Sztemberku", kiedy indziej „Aleksander Lew ze Sztemberku Kostka" podszywając się pod nazwisko znanej magnackiej rodziny Kostków, człowiek który „na torturach zaparłszy się tytułu Kostki (...) powiadał się być i bękartem króla nieboszczyka, i Napierskim, i przy śmierci na ostatek Szymonem Bzowskim" nie był bohaterem legendy póki usłużni dziejopisowie z całkiem nieodległych lat nie wepchnęli go do niej na siłę. Pozostały po tym ślady niezatarte w postaci powodzi broszurek i „popularyzujących" artykułów, na kartach podręczników, zaś ukoronowaniem miało być arcydzieło filmowe pt. „Podhale w ogniu". Owocem znanym tylko specjalistom było ożywienie badań naukowych nad tajemniczą postacią Napierskiego, ożywienie, którego najnowszym rezultatem jest książka Adama Kerstena „Na tropach Napierskiego. W kręgu mitów i faktów" (PIW 1970), od której zacytowania rozpocząłem ten felieton.

Kersten lubuje się w demaskowaniu mitów i stara się kontynuować nie tylko boyowskie antybrązownictwo. Miał zadanie o tyle wdzięczne, że genealogia tego mitu, który zafascynował badacza, była wysoce podejrzana: toć był to po prostu dość sztuczny twór opaczny nie pojętego „zamówienia społecznego". Ale zadanie to było bardzo trudne, bo gdyby łatwo było dojść choćby do przybliżonej prawdy o bohaterze wydarzeń z 1651 roku, to i mitotwórcy przysięgli — pośród których znajdziesz paru historyków całą gębą — albo by do niej dotarli, albo... zrezygnowaliby ze swego herosa. Szukał w archiwach i bibliotekach polskich, szwedzkich, węgierskich i francuskich, i wreszcie odnalazł — nie tyle ile by pragnął, lecz akurat tyle, by starczyło na obalenie sztucznej legendy, której obrona będzie teraz bardzo utrudniona. Bowiem imć pan — jak by się tam zwał — Napierski, proszę panów prelegentów i popularyzatorów, zwykły sobie szlachetka, który bardzo pragnął wydźwignąć się z nie najlepszej kondycji, wzorem innych szukał szczęścia zapewne w służbie cesarskiej, potem szwedzkiej. Wrócił do Polski, próbował służby pod skrzydłami króla Władysława IV, by rychło znaleźć się w zupełnej biedzie w stolicy Szwecji, dokąd zjawił się w bliżej nie znanej misji. W maju 1651 roku pojawił się na Podgórzu, gdzie najprawdopodobniej działał z ramienia Bohdana Chmielnickiego chociaż — jak powiada Kersten — „nie można wykluczyć także bezpośredniego powiązania czy to z samymi Rakoczymi, czy nawet z jednym z polskich magnatów, należącym do obozu opozycji i popierającym dynastyczne plany Rakoczych". Tak rozsławione zajęcie Czorsztyna oraz podburzanie okolicznej ludności stanowiło wedle Kerstena element „wspólnej akcji militarnej ukraińsko-siedmiogrodzkiej, której celem było zajęcie Krakowa, koronacja Zygmunta Rakoczego na króla polskiego oraz poważne usamodzielnienie się Ukrainy pod panowaniem nowego władcy". Tyle Kersten. Nie chybnie jego książka będzie przedmiotem ożywionej dyskusji fachowców, podniosą się różne zastrzeżenia, posypią pochwały...

Jedno jest jednak niewątpliwe. Sztuczne powoływanie do życia mitów historycznych, choćby sprowokowane „społecznym zamówieniem" na dłuższą metę skazane jest na fiasko. Tak było i z mitem ludowego przywódcy-Napierskiego. Bowiem nie na tym polega związek między teraźniejszością a przeszłością, by wpisywać w tę ostatnią to wszystko, co chciałoby się aby było, a jednak jakoś być nie chciało. Bowiem tradycja to nie tylko — wbrew mniemaniu niektórych — instrument w ręku propagandysty — to coś znacznie innego. Nieraz wypadnie nam o tym jeszcze mówić.

Jeszcze kilka słów na zakończenie. Książka Kerstena jest osobliwością wśród naukowych publikacji historycznych nie tylko ze względu na fascynujący temat i nie mniej pasjonujące wyniki poszukiwań badawczych autora. Jest nią także ze względu na sposób wykładu, jakże odmienny od tego, z jakim spotykamy się zazwyczaj w podobnych publikacjach. Nie chodzi mi tylko o walory literackie — zresztą niewątpliwe. Ważniejsze jest co innego: książka — jak powiada autor — „zawiera nie opis, lecz podstawę do samodzielnego rozumowania". Autor zmusza czytelnika do postawy aktywnej, prowadzi go śladem swych poszukiwań, stara się dać mu do ręki „narzędzia kontroli, umożliwiając współuczestniczenie w procesie dochodzenia do ustaleń i propozycji zawartych w tej książce". Nie ma w niej podawanych do wierzenia prawd absolutnych i pewników niewzruszalnych, jest rozumowanie i argumentacja. „Czytelnik — pisze Kersten — jeżeli nie ma traktować historii jako kuglarstwa, powinien wiedzieć, skąd biorą się (...) różnice w interpretacji wydarzeń". To właśnie uodporni go na wszelkie mitotwórstwo.

JÓZEF GRZELAK

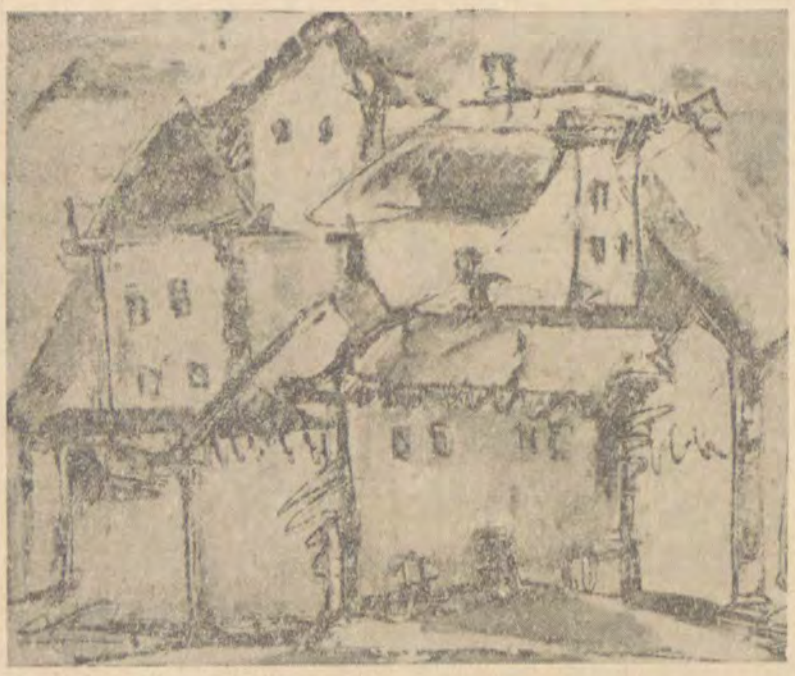

KAROL BADZIAK

# MIASTECZKO z własnym kronikarzem

Do Żychlina wjeżdża się kasztanową aleją. Jakie to małe miasteczko jest małe. Największy jest tutaj Zakład M-1 i Dom Kultury. Reszta miniaturowa, domy, domki, uliczki, skwerki, sklepy, sklepiki. Odnosi się wrażenie prowincji doskonałej. Miasteczko nie ma żadnej dziwnej legendy, przeciętny wygląd i przeciętną historię. Tylko, że przeciętna historia polskiego, nawet najmniejszego miasteczka jest niecodzienna, złożona z ofiar, walk, krwi i pożarów.

**„Między drobnymi miasteczkami na Mazowszu a wsiami — pisał w XVII wieku cudzoziemski turysta — ta tylko różnica, że mieszkańcy tych miasteczek mają nieco wolności i albo sami są szlachcicami, al bo chłopami poddanymi królowi, nie tyranii szlachty. Tak i w tym Żychlinie mieszka sama szlachta: jednego spotkaliśmy jak z szabelką przy boku popędzał wóz z gnojem na pole".**

Żychlin, jak większość miasteczek w tej okolicy, był prywatną własnością karmazynowej szlachty. Pierwszymi właścicielami, jak z nazwy wynika, byli Żychlińscy.

Przedostatnim właścicielem Żychlina był natomiast Tomasz Pruszak. Miejscowy historyk (któreż małe miasteczko nie ma miejscowego historyka), nauczyciel historii w tutejszym liceum ogólnokształcącym, pan Franciszek Góreczny, tak o nim w swej „Kronice Żychlina od czasów najdawniejszych do grudnia 1966 roku doprowadzonej" pisze:

**„Poza tym Pruszak był właścicielem czterech pałaców: w Warszawie, w Sannikach, w Śleszynie i na Budzyniu. W każdym pałacu kaplica a przy niej kapelan. Około sześćdziesięciu osób służby, własna orkiestra, która na balach, a często przy obiedzie i kolacji przygrywała. Dwóch pachołków, którzy w czasie podróży Pruszaków przy karocy jechali, za karocą podróżował wóz z kamerdynerem, lokajem, kucharzem i różnymi bagażami. Tomasz Pruszak był ambitny i surowy w swych rozkazach, a w potrzebie dobroczyńca. W czasie uroczystości nosił kontusz i karabelę przy boku. Pędząc karocą zaprzężoną w cztery konie wysiadał na rogu ulicy przy wyjeździe na rynek, gdzie pozdrawiał zgromadzonych Żydów i mieszczan, witał się ze szlachtą przez podanie ręki".**

Dzisiaj do Żychlina można przyjechać koleją lub autobusem PKS. Miasteczko uchodzi za ciche i spokojne. Lata burzliwe ma już za sobą, rozwija się normalnie, buduje i rozbudowuje. Posiada dzielnicę bloków o nazwie „Wyzwolenie". Coś w rodzaju łódzkiej Dąbrowy, tylko, że o wiele mniejsze. Bloki są ładne, lecz monotonne, wprost przeciwnie niż stare domki — brzydkie lecz malownicze. Nadają się do skansenu, a nie do zamieszkania. Na szczęście co trzeci mieszkaniec Żychlina mieszka już w nowym budownictwie.

W jednym z takich bloków mieszka właśnie Franciszek Góreczny. Samotny, starszy pan, rozmiłowany w historii swego kraju, w historii swego regionu, chodzi po wsiach, szpera w księgach parafialnych, gawędzi ze starcami, wygrzewającymi się na przybach i spisuje pracowicie kronikę miasteczka i okolic. Taki żychliński Wincenty Kadłubek. Jego praca jest bezcenna, z okruchów układa dzieje miasteczka, utrwala na piśmie ulotne wydarzenia, wygłasza pogadanki przez miejscowy radiowęzeł, pisze po prostu kronikę. Poczytajmy.

**„ROK 1960.** Od roku 1960 po rok 1966 zanotowano w Żychlinie wydarzenia. W roku 1960 wybudowano żelbetonowy, okazały most na Słudwi, łączący fabrykę im. W. Piecka i osiedle „Wyzwolenie" z centrum miasta. Stary, drewniany i już niepewny most rozebrano".

**„ROK 1961.** W roku 1961 poprawiła się i tak dotąd niezła komunikacja samochodowa. Z miejscowej stacji PKS odchodzą duże autobusy osobowe: co godzina — do Kutna, rano i w południe — do Łodzi, poza tym do Łowicza, Płocka, Gąbina i Warszawy. Obok tego w miejsce dawnych dorożek konnych kursuje w mieście pięć prywatnych taksówek z początkiem roku, a już w czerwcu tego roku mamy osiem taksówek. W tym też roku miasto otrzymało jeszcze jarzeniowe oświetlenie ulic i założono zieleńce. Miasto otwiera również piękną salę teatralną przy ulicy Barlickiego 4, na 360 miejsc, z dużą sceną, zbudowaną na wzór większych teatrów".

**„ROK 1962.** W maju 1962 roku Żychlin przeżył dni grozy. Powódź, jakiej nie pamiętają najstarsi ludzie. W nocy z 11 na 12 maja szalała straszna burza deszczowa, a wiatr połamał stare drzewa i pozrywał dachy. 12 i 13 maja leją bez przerwy deszcze. Mieszkającego za mostem ob. Medyńskiego nagle oblała woda tak, że z rodziną musiał wyjeżdżać ze swej zagrody na baliach i tratwach. Część młodzieży nie przyjechała do szkoły. Ochotnicza Straż Pożarna wciąż była w pogotowiu".

**„ROK 1963.** Wiosną br. w śródmieściu, na głównym skrzyżowaniu ulic pod „Zegarem", zrobiono asfaltową rozjezdnię, co po usunięciu „kocich łbów" wielce usprawniło komunikację. Położono również asfaltową nawierzchnię na całej ulicy Traugutta.

Przy Placu Wolności dokonano przeróbki parteru, oddzielając remizę strażacką od dużej sali, wspartej na dwóch kolumnach. W tej sali urządzono świetlicę-klub, gdzie brać strażacka, a i jej przyjaciele znajdują przyjemny wypoczynek po pracy, mogą się napić kawy, zagrać w bilard, lub szachy. Działo się to, gdy prezesem OSP w Żychlinie był ob. Marian Śliwiński".

**„ROK 1963.** Zima. Takiej zimy najstarsi ludzie nie pamiętają. Chwyciła ona już w ostatnich dniach listopada, mrozy przez cały czas były ostre, nierzadko dochodziły do minus 36 st. C. Wymarzło wiele sadów owocowych, niektóre oziminy, jak rzepak i pszenica. Od mrozów pękały szyny kolejowe i zdarzały się z tego powodu wykolejenia pociągów.

W dodatku spadły obfite śniegi, paraliżujące komunikację. Przyszła też klęska na dziką zwierzynę i ptactwo. Zające, sarny i inne zwierzęta podchodziły do zagród ludzkich. Mróz porobił też wielkie spustoszenie w rybostanie. Wody pokryły się warstwą lodu metrowej grubości. Nawet Wisła zamarzła.

9 lipca odbył się w Żychlinie manifestacyjny pogrzeb Adama Radzymińskiego, ludowego artysty - muzyka, który prowadził orkiestrę ludową przy Zespole Łowickim Pieśni i Tańca. W pogrzebie uczestniczyły tysięczne rzesze miejscowej i okolicznej ludności".

**„ROK 1964.** Wzdłuż ulicy Traugutta po obu jej stronach założono chodnik. Nowa linia autobusowa PKS prowadzi z Żychlina przez Jastrzębie, Pobórz... hen, dalej aż do Kutna.

Miasto dokupiło trzeci mikrobus.

Wzrasta wciąż ilość prywatnych taksówek, przeważnie marki „Syrena". Ruch samochodowy jest tak duży, że stacja benzynowa przez cały dzień ma co robić.

W dniu 28 października odwiedziła Żychlin delegacja partyjno-rządowa Algerii. Delegacja zwiedziła Zakłady Budowy Maszyn Elektrycznych i Transformatorów im. W. Piecka".

**„ROK 1965.** Otwarto drugie kino „Lech". Jest to kino panoramiczne i posiada 360 miejsc siedzących, a ze stojącymi może pomieścić 400 osób".

Warto dodać, że Żychlin jest miastem, które posiada największą w Polsce ilość miejsc kinowych na jednego mieszkańca. Ośmiotysięczny Żychlin posiada bowiem aż trzy kina. Posiada również miejscową komunikację, co prawda mikrobusową, ale jest to również ewenement ogólnopolski, gdy weźmiemy pod uwagę, że we wnętrznej komunikacji nie posiadają nawet 30-tys. miasta. Komunikacja ta związana jest niewątpliwie z zakładem M-1, w którym pracuje prawie co trzeci mieszkaniec miasteczka. Byt mieszkańców Żychlina jest bardzo uzależniony od sytuacji w M-1. Ponieważ Zakłady ciągle się rozrastają, rozwija się również Żychlin.

Życie kulturalne Żychlina koncentruje się w Domu Kultury. Placówką tą energicznie kieruje rodowita żychlinianka, Laura Wojciechowska. Dom jest nowy, świetnie wyposażony, ale okazuje się, że już jest za ciasny, za mały. Oczywiście fala big-beatu i tutaj dotarła. Co drugi chłopiec w miasteczku brzdąka na gitarze, co druga dziewczyna próbuje sił jako solistka. Chórzystek brak, każdy dziś woli śpiewać indywidualnie. Zespoły muzyczne Domu Kultury kuszą atrakcyjnymi nazwami „Fatum", „Ariols", „Nomadowie". Ściany gabinetu kierowniczki wypełniają się dyplomami z przeróżnych igrzysk i festiwali powiatowego i wojewódzkiego big-beatu.

Cienkie ściany budowli drżą od gorących, południowych rytmów, wzmocnionych tranzystorami. Starsi mieszkańcy z trwogą wsłuchują się w odgłosy dochodzące z Domu Kultury. Przyzwyczajeni są bowiem do ciszy, spokoju i pracy. Ludzie tutejsi są wyjątkowo uprzejmi i gościnni. Na każdym kroku spotyka się uprzejme ekspedientki, miłe kelnerki, uczynne urzędniczki. Najstarsi ludzie nie pamiętają tu afer, skandali towarzyskich, przestępstw kryminalnych, rozwodów. A może lokalny patriotyzm nie pozwala informować o tym przybyszów?

Ludzie tu żyją jak u Pana Boga za piecem, w dzień pracują, wieczorem oglądają telewizję lub idą do jednego z trzech kin. Jeszcze do niedawna co roku, w dniu 15 sierpnia, wszyscy udawali się z pielgrzymką do pobliskiego Suserza. Przysięga na odbywanie tej pielgrzymki obejmowała sto lat. Złożyli ją pradziadowie podczas epidemii cholery, która dziesiątkowała ludność Żychlina w 1852 roku. W 1952 roku termin minął, przysięga przestała obowiązywać, pielgrzymki ustały. Rzetelnie wypełniono nakaz przodków, a poza tym teraz są szczepionki.

Przed wojną kolorytu miasteczku dodawali Żydzi. Hałaśliwa bieda żydowska wypełniała miasto jarmarcznym krzykiem. Mieli wśród siebie słynnego na okolicę cadyka. Szmula Chabę, któremu z powodu jego świątobliwości przypisywali właściwości prorocze. Po śmierci nad grobem cadyka postawiono mały budynek. Mieścił się w nim stół, a na stole pióro, papier i atrament. Byli przeświadczeni, że cadyk coś im po swej śmierci napisze. Nie napisał. Później wszystkich zmiażdżyła wojna.

18 stycznia 1945 roku okaleczony Żychlin doczekał się wyzwolenia. Miejscowy kronikarz to ważne wydarzenie odnotował znamiennym zdaniem: **„Tego dnia nikt do pracy nie poszedł".**

JOLANTA MACH

# Symbioza albo jak wchłonąć awangardę

**U progu roku 1970 zapytywano grono wybitnych krytyków filmowych o cechy szczególne rozwoju kina światowego w dziesięcioleciu 1960—69. Odpowiedzi przedrukowało FORUM. Rys najbardziej charakterystyczny krytycy dostrzegli w przenikaniu do filmu, którego nie wypada już nazywać po prostu „komercyjnym" — prądów i pomysłów powstających na uboczu oficjalnej produkcji. Naturalnie to, co dziś tytułuje się „podziemiem" (underground), a dawniej — awangardą, zawsze ożywiało film dostępny szerokim rzeszom widzów. Obecnie jednak świeży powiew zmienia się w silny wiatr i zarówno same renomowane wytwórnie, jak starzy uznani mistrzowie skwapliwiej niż kiedykolwiek przedtem otwierają swe bramy i swą wrażliwość na „nowinki". Coraz częstsze są wypadki, że „podziemie" i film, powiedzmy to tak, „jawny" idą ręka w rękę. Niekiedy granica między nimi ulega zatarciu, więcej — oficjalna produkcja tyle korzysta z nauk „podziemia", że z kolei „podziemie", poprzednio zawsze gardzące oficjalnym kinem, zawsze opozycyjne, może uczyć się od niej.**

**Większość filmów pokazanych w ramach przeglądu „Konfrontacje 69" potwierdza przytoczoną ocenę. Niestety refleksja, jaka się tu budzi, bywa czasem gorzka, dowodzi bowiem nie czego innego, tylko złośliwości losu, który odbiera artyście-wynalazcy prawo pierwszeństwa, a widzowi każe zachwycać się tym, co wtórne. Może zresztą my, widzowie, sami jesteśmy sobie winni, że bez blasku festiwalowej oprawy i pieczątki nagrody trwamy w drętwej obojętności.**

**Pochlebne recenzje i przychylność widzów ma u nas film amerykański „Wolnego, wolnego" Haskella Wexlera, uhonorowany Grand Prix w Mannheim, a wyprodukowany przez Paramount. Jego poprzednicy — starsze o lat 10 „Ulica Bowery" i „Wróć, Afryko" Lionela Rogosina, a nade wszystko „Cienie" Johna Cassavetesa błąkały się po ekranach dyskusyjnych klubów filmowych. Zainteresowanie, jakim się cieszyły, można przy najlepszej woli określić jedynie jako umiarkowane. Znalazła się nawet osoba, która po projekcji „Ulicy Bowery" wyraziła głębokie oburzenie w stosunku do Rogosina, zarzucając mu antyamerykańskość, wyciąganie na światło złych stron amerykańskiego życia. Protestując przeciw tzw. publicznemu praniu brudów („Ulica Bowery" opowiada o alkoholikach i narkomanach koczujących na nowojorskim bruku) owa pani nadal pragnęła wierzyć w lukrowany świat Hollywoodu. Trzeba było dziesięciu lat, aby producenci hollywoodzcy okazali się mądrzejsi od owej pani. Najpierw skaperowali Cassavetesa, co w ostatecznym rachunku nie powiodło się, potem przechwycili — już bez osób, realizację powierzając komu innemu, wątki treściowe i metody twórcze wypracowane przez Niezależnych Filmowców Amerykańskich, właśnie Cassavetesa, Rogosina, Leacocka i wielu, wielu innych. Wątki i metody wypracowane w biedzie, w borykaniu się z niesprawnym sprzętem, bez pomocy zawodowych aktorów — lecz ze szczerej potrzeby serca. Filmy Niezależnych wyrosły z prawdziwej troski o społeczeństwo zamieszkujące ich ojczystą ziemię, rozdarte na biednych i bogatych, silnych i słabych, białych i czarnych. Robiono te filmy tak, jak robi się dokumentalne reportaże — kamerą często ukrytą, na rzeczywistych ulicach. Powodem zaś był nie tylko brak ateliers i świadomość, że nikt nie da złamanego grosza na produkcję obrazów o ludzkiej krzywdzie (w istocie Niezależni na apel radiowy uzyskali pomoc finansową od kilku „lwów" hollywoodzkich, m. in. od Williama Wylera). Przyczynę zasadniczą stanowiła idea: myśl duchowego ojca Niezależnych, krytyka Jamesa Agee. Agee, zmarły w 1955 roku, pisał: „Filmy, których najbardziej niecierpliwie wyglądam, nie będą dokumentami, lecz dziełami fikcji, rozgrywanymi przeciw niej i w niej i przy współpracy z realnością nie wymyśloną i nie wypróbowaną uprzednio". Fikcja to fabuła, dramaturgiczne spoiwo, wiążące i porządkujące spontaniczną, „niewymyśloną", nasycającą dzieło krwią — rzeczywistość.**

**Wydaje mi się, że Wexler powiela myślowy wzór Jamesa Agee i praktyczny Niezależnych, i zapewne grzeszę niesprawiedliwością podejrzewając wyrachowanie tam, gdzie dawniej było zaangażowanie. Nie mogę jednak zapomnieć o napisie „Paramount" w czołówce filmu, a przede wszystkim o dziesięcioletnim okresie, jaki upłynął od narodzin wzoru. W okresie tym problemy rasowe i społeczne, które podjęli Filmowcy Niezależni, nabrzmiały jeszcze bardziej. Zaczęło być o nich głośno po tamtej i po tej stronie oceanu, również dokumentalne metody realizacji stały się powszechne. Zatem, kto wie, czy nie pod naporem mód kinowych i jaskrawych, nie dających się ominąć napięć społecznych powstał film „Wolnego, wolnego", film, który niczego w zakresie treści ani formy nie antycypuje; który wszystko bierze gotowe. Niesprawiedliwą, podejrzliwą, rozgoryczoną uczynił mnie poklask dla epigona, a milczenie wokół pionierów.**

☆

**„Konfrontacje 69" otworzył oparty na opowiadaniu Dostojewskiego film Roberta Bressona, „La Femme Douce", co przetłumaczono jako „Łagodna". Bressonowska „Łagodna" jakże inna od telewizyjnego przedstawienia z Aleksandrą Śląską i Stanisławem Zaczykiem w rolach głównych, gdzie na plan pierwszy wysuwały się subtelne niuanse i dwuznaczności psychologiczne — spotyka się z dążeniem, któremu dają wyraz najnowsze filmy podziemne. Są to filmy na ogół jednoujęciowe, powolne, zmuszające do uważnej obserwacji. Jak rzekomo miał powiedzieć Antonioni: „Im dłużej to trwa, tym bardziej wydaje się to piękne". Przykładem, z którym „Łagodna" Bressona niemal się pokrywa, wydaje się „Długość fali" Michaela Snowa. Kolorowy, 45-**

TERESA WOJCIECHOWSKA

# Staruszek z ulicy Cegielnianej

**Zakryto jego sędziwe oblicze parawanem desek, zasłonięto przed wzrokiem ciekawskich i dokonano zabiegu odmładzającego. Kiedy usunięto deski, oczom naszym ukazał się młodzieniec w pełni krasy i sił, piękny, mocny, jasnymi oczami neonów spoglądający na otoczenie, które nie odmłodniało razem z nim. Staruszek z ulicy Cegielnianej — młodzieniec z ulicy Jaracza. Staruszek, od 60 lat chroniący polską scenę o 80-letnich tradycjach. Zmieniał ten budynek teatralny nazwy, jeszcze częściej zmieniał dyrektorów, trwał na trudnej, nieurodzajnej dla uprawy polskiego słowa glebie, wiele przeżył, wiele widział i słyszał wiele. Był świadkiem wzlotów i upadków łódzkiego teatru, przeżywał z nim chwile trudne i chwile piękne, dawał schronienie ludziom, którzy poprzez teatr szerzyli polskość, i tym, którzy tę polskość poprzez słowa polskich poetów chłonęli.**

Ile pozostało z owych dawnych lat, dawnych tradycji w tym pięknym dziś, nowoczesnym gmachu Teatru im. Jaracza? Tyle, co w ludzkiej pamięci, a ona jest zwodna i nietrwała. Ale przecież żyją dziś ludzie, którzy z owych osiemdziesięciu lat szmat czasu spędzili w tym teatrze albo obok tego teatru. A dzieje wcześniejsze znają z opowiadań ustnych lub pisemnych przekazów. Żyją na pożółkłych fotografiach młodzieńcze sylwetki aktorów, wnętrza sceny, rekwizyty, dekoracje. Żyją stare dokumenty, afisze, programy przedstawień, akta Magistratu m. Łodzi z lat międzywojennych.

Choć odmieniony to dziś gmach, inni ludzie — Teatr im. Jaracza czuje się kontynuatorem tamtych tradycji i tamtych dziejów zamkniętych ramami gmachu — staruszka odmłodzonego dziś na miarę potrzeb i epoki. I obchodząc jubileusz 25-lecia, przygotowując się do jubileuszu 80-lecia (za punkt wyjściowy przyjęto powstanie teatru „Victoria", który po spaleniu gmachu przy ul. Piotrkowskiej 67, przeniósł się do gmachu przy ul. Cegielnianej) postanowiono w Teatrze im. Jaracza urządzić wystawę-gablotę pamiątek teatralnych z okresu do I wojny światowej.

Apel do mieszkańców miasta, do aktorów, którzy na deskach tego teatru występowali, przyniósł interesujące rezultaty. Zebrało się wiele dokumentów: afiszów, programów teatralnych, zdjęć — z końca ubiegłego wieku, z okresu międzywojennego, z pierwszych lat powojennych wreszcie.

I teraz siedzę oto w pokoju kierownika literackiego teatru, pani Krystyny Bobrowskiej i szperam w tych wzruszających starociach, mających niepowtarzalny urok pożółkłych, poprzeciera nych na rogach kartek, które najniespodziewaniej dla ich autorów przedostały się do niedyskretnych rąk potomnych. Temu niedyskretnemu wdzieraniu się do historii zawsze mi towarzyszy uczucie lekkiego zażenowania. Bo przecież choć życzliwie, choć z sympatią, śmiejemy się często z tego, co oni traktowali najzupełniej poważnie.

Ot, choćby taki afisz: **„Sobota, dnia 12 Marca 1892 roku. Teatr Łódzki VICTORIA — „Człowiek o stu głowach" — Krotochwila w 3-ch aktach Moulin i Delavigne". Wśród wykonawców: p-na Wyrwicz, p-ni Trapszo, p. Trapszo, p. Morozowicz.**

Albo inny: **„Teatr Łódzki — Ogród Sellina — „30 lat Życia Szulera" — Melodrama w 3-ch porach z francuskiego Ducang'a i Dinaux — Biletów dostać można w cukierni W-go Roszkowskiego".**

**Albo: „W poniedziałek dnia 25 Marca 1895 roku — Teatr Łódzki VICTORIA — Drugi występ p-ni Maryi Lewy — Artystki Teatru Krakowskiego — „Jak myślicie" — Komedya fantastyczna w 4-ch aktach przez Kazimierza Zalewskiego. — Zapuszczanie obłoków oddzielać będzie „Opowiadanie" od Komedji." — Jutro: „Oj, mężczyźni, mężczyźni"**

Inaczej dawne afisze wyglądały. Na plakacie zapowiadającym „Nieboską komedię" na czołowym miejscu i znacznie większymi czcionkami ogłaszano nazwisko p F. Pulsa wytwórcy mydeł — niż twórcy dramatu. W ogóle autor zajmował na afiszach miejsce dość poślednie, nie mówiąc już o reżyserze i innych realizatorach. Nazwiska aktorów (z wyjątkiem renomowanych sław na gościnnych występach) podawano bez imion, ale za to z uhonorowaniem stanu cywilnego: p-ni Trapszo, p-na Wyrwicz itd.

Jest wiele zdjęć. Niektóre z nich przysłali sami aktorzy. Między nimi zdjęcie Jadwigi Żmijewskiej, która w 1908 roku zagrała Pannę Młodą w wystawianym tu po raz pierwszy „Weselu". W oryginalnym bronowickim stroju ludowym, który sprawiła sobie własnym sumptem, tak bowiem wówczas ubierali się aktorzy na scenę. Artystka przysłała to zdjęcie z Krakowa, gdzie mieszka obecnie. Niektóre ze zdjęć stanowią dziś zagadkę, nie wiadomo z jakich sztuk pochodzą, nie wszystkich aktorów rozpoznano. Mogłyby być przedmiotem specjalnych studiów i docieкań. Stanowią przecież bezcenne, unikalne dokumenty.

Przeglądając te stare papiery mam okazję do snucia melancholijnych rozważań i — całkiem nieoczekiwanych odkryć. Odkrywam na przykład, że instytucja abonamentów szkolnych jest bardzo stara i że z powodzeniem mogłaby urządzić sobie jubileusz 50-lecia. Poczytajmy bowiem pismo Franciszka Rychłowskiego, napisane 6 września 1919 roku do Sekcji Kulturalno-Oświatowej przy Magistracie m. Łodzi.

**„Teatr Polski w Łodzi, w poczuciu swej służby kulturalnej pragnie obrazować w szeregu sztuk obejmujących historię rozwoju twórczości scenicznej polskiej całokształt tej twórczości i tem samem pokazać drogę, którą ta twórczość szła, by dojść wyżyny jej czasów dzisiejszych, o czem dyrekcja Teatru Polskiego czuje się w obowiązku donieść Sekcji Kulturalno-Oświatowej w nadziei, iż takowa raczy zawiadomić o tem uczącą się młodzież.**

**Na pierwszy wieczór, który odbędzie się dnia 6 bm. Teatr da je stylową komedię Fr. Zabłockiego pt. „Fircyk w zalotach".**

Widocznie Sekcja Kulturalno-Oświatowa przychyliła się do prośby dyrektora, bo oto 5 października 1920 roku do Wydziału Szkolnictwa przy Magistracie m. Łodzi wpłynęło pismo następnego dyrektora teatru — Aleksandra Zelwerowicza:

**„Dyrekcja Teatru Polskiego zwraca się z uprzejmą prośbą do Wydziału Szkolnictwa o energiczną interwencję do przełożonych i wychowawców szkół średnich, których uczennice i uczniowie uczęszczają na sobotnie popołudniowe widowiska dla młodzieży, aby młodzież zachowywała się przyzwoicie na tych widowiskach. W czasie ostatniego przedstawienia „Wyzwolenia" ciągłe głośne rozmowy, śmiechy, krzyki i dokazywania wprost uniemożliwiały bieg akcji, świadcząc jednocześnie bardzo niepochlebnie o poziomie kultury i dobrym wychowaniu naszej młodzieży szkolnej. Trzeba by koniecznie, aby nauczyciele czy wychowawcy byli obecni na widowni i powściągali niewczesne zapały niesfornej części młodocianej publiczności — inaczej bowiem widowiska te będą najwyraźniej mijały się z celem".**

Cóż, można tu melancholijnie westchnąć, na usprawiedliwienie tamtej młodzieży dodać, że chodziła ona do teatru w ogóle bez wychowawców i mniemać, że tak pomysłowa w urozmaicaniu sobie czasu w teatrze jak poniektóra nasza, na pewno nie była.

* * *

Ale historia teatru łódzkiego, to nie tylko krotochwilne ciekawostki, a raczej przede wszystkim nie one. To lata trudnej walki z kłopotami materialnymi, to lata walki o polską scenę w okresie carskiego terroru, w zgermanizowanym mieście, to wreszcie lata walki o zmianę przekroju społecznego widowni, poszerzenie jej o widza robotniczego. Takie cele przyświecały powstałemu w 1903 roku Polskiemu Towarzystwu Teatralnemu Łódzkiemu, które patronowało działalności teatru, przyświecały wielu jej dyrektorom

Dla zachowania materialnej egzystencji, teatr musiał balansować między repertuarem „pod publiczność", a ideowym, zaangażowanym, w którym dominował, szczególnie za dyrekcji Aleksandra Zelwerowicza, dramat romantyczny. To łódzka premiera „Nieboskiej komedii" (za dyrekcji Czesława Janowskiego i Mariana Gawalewicza 1903—1906) stała się wydarzeniem artystycznym na skalę krajową. To Łódź jako pierwsze w Królestwie miasto (za dyrekcji Zelwerowicza — 1908—1911) oglądała na scenie dramaty Wyspiańskiego. To tu, jeszcze w latach wcześniejszych (za dyr. Michała Wołowskiego — 1896—1900) próbowano wystawić zakazaną przez cenzurę w Warszawie „Balladynę", pod tytułem „Dzbanek malin" To tu wystawiano „Złotą czaszkę", „Wallenroda", „Zawiszę Czarnego", „Horsztyńskiego", „Mazepę", „Sen srebrny Salomei", tu odbyła się prapremiera „Samuela Zborowskiego".

Stary gmach przeżył wielu dyrektorów. Zmieniali się często, co kilka lat, w okresie międzywojennym nawet co roku. Ot i jeszcze jedna chwila zadumy. Już wtedy znane było podobno powiedzenie: „rok w Łodzi nie zaszkodzi" (też okazja do jubileuszu) więc warszawscy dyrektorzy „wyskakiwali" na rok do Łodzi. Łódzka publiczność miała dzięki temu okazję oglądania sław aktorstwa polskiego, zaś budżet teatru wychodził na tym nie najlepiej. Ale i stały łódzki zespół mógł się pochwalić nie byle jakimi nazwiskami. Oto w sukurs przychodzą znów stare programy z sezonu 1927—1928. Przejrzyjmy kilka.

**„Teatr Miejski — „Dzieje grzechu" Stefana Żeromskiego w układzie dramatycznym i inscenizacji Leona Schillera, z dekoracjami Konstantego Mackiewicza, muzyką Jana Maklakiewicza".**

Wśród głównych wykonawców: Hilda Skrzydłowska, Franciszek Brodniewicz, Aleksander Żabczyński, Michał Melina, Dobiesław Damięcki, Kazimierz Fabisiak i in.

**„Juliusza Słowackiego „Książę Niezłomny" z Calderona de la Barca".** — Wśród wykonawców: Juliusz Osterwa (gościnnie), Irena Grywińska, Franciszek Brodniewicz, Józef Winawer.

Teatr przy ulicy Cegielnianej przeżywał chwile piękne, znakomite przedstawienia, wielkiej miary ludzi teatru — dyrektorów, którzy choć się zmieniali, byli ambitni i utalentowani. Doczekał znakomitych przedstawień w ostatnim przedwojennym sezonie 1938/39 — których ukoronowaniem był „Kordian" ze znakomitym Bronisławem Dąbrowskim w roli tytułowej.

Polskie słowo umilkło na pięć lat, w starym gmachu przymarło życie. A potem przyszła druga młodość. Na scenę, którą przed wojną uświetniał swymi kreacjami, powrócił Władysław Krasnowiecki z zespołem Teatru Wojska Polskiego. Rozpoczął się wspaniały, niepowtarzalny okres teatru przy ul. Cegielnianej. Najznakomitsi ludzie teatru, reżyserzy, aktorzy i — pierwsze przedstawienie: 22 marca 1945 roku premiera „Wesela" z czołówką aktorską już znaną i młodzieżą teatralną, która dziś jest czołówką: Władysław Krasnowiecki, Jan Świderski, Jan Kreczmar, Marian Wyrzykowski, Elżbieta Barszczewska, Zofia Mrozowska, Andrzej Łapicki, Czesław Wołłejko, Ryszarda Hanin — reżyseria Jacek Woszczerowicz. Któż by zresztą wszystkie nazwiska wyliczył.

I rozpoczęło się nasze normalne teatralne życie, unormowane po pierwszym okresie entuzjazmu, euforii i... tymczasowości. Stary, poczciwy gmach znów oglądał wielu odchodzących i przychodzących i nie dziwił się, bo tak było zawsze i tak być musi. A ważne jest tylko to co pozostaje na stałe, to co staje się trwałym składnikiem naszej kultury, co ją wzbogaca, kształtuje jej charakter, umysły społeczeństwa.

Obchody tegorocznego Międzynarodowego Dnia Teatru odbywają się pod hasłem „Teatr a edukacja". Pod tym właśnie hasłem można by wiele w historii łódzkiego teatru znaleźć. I może właśnie dlatego warto, by w tym odmłodzonym pięknym gmachu teatralnym, który jest chyba jakimś symbolem, powstało niewielkie może na razie, na razie jako zaczątek — muzeum teatralne. W tej chwili jest chyba dość eksponatów, by taki początek zrobić A wtedy na pewno znajdzie się ich znacznie więcej. Ci, którzy dziś może jeszcze nie chcą się rozstać z drogimi sercu, przypominającymi może najlepszy okres w życiu pamiątkami, na pewno zechcą je ofiarować lub wypożyczyć, gdy będą mieli gwarancję, że pamiątki te znajdą godną oprawę i miejsce.

I to będzie historia starego gmachu o młodym obliczu.

---

**minutowy, jednoujęciowy film jest po prostu obrazem pokoju, pewnego wnętrza mieszkalnego. Czas ekranowy nie odpowiada realnemu, przypatrujemy się pokojowi przez cały dzień, o mijaniu godzin od rana do zmierzchu świadczą zmiany oświetlenia. Wszystko jest nieruchome, tylko kamera jest ruchoma, spokojny, monotonny, chciałoby się rzec nieunikniony podjazd aparatu do przeciwległej ściany wykreśla z pola widzenia coraz to inne przedmioty. Obraz początkowo szeroki, otwarty jak pudełkowa, naturalistycznie udekorowana scena w teatrze, stopniowo zawęża się. Zawężenie, ograniczenie, któremu towarzyszy zmierzch (może symbol umierania?) stanowi wszakże metaforę. Oto ściana, która uniemożliwia dalszy ruch — jest zajęta przez wiszący na niej obrazek morza. Zatem w miejsce skończoności pojawia się nieskończoność, przestrzeń pełna powietrza.**

**W symbolice, którą wpoiła nam nasza tradycja kulturalna, powietrze i morze oznaczają wolność. Podobnie metaforyczny, jak wizerunek morza w filmie Snowa, jest szal Łagodnej unoszony wciąż podmuchem wiatru, gdy jej już nie ma. Ten szal wiruje za balustradą balkonu, z którego skoczyła, jak refren... Powtarzany raz po raz punktuje czy pointuje poszczególne fragmenty historii dwojga ludzi, spętanych dziwnym uczuciem.**

**O filmie Snowa pisano, że mówi „o malejącym obszarze czystej cudowności i złowróżbności"; że jest „intuicją przestrzeni i domyślnie — kina jako czegoś utajonego i nasyconego możliwościami". Ciekawe, że obaj artyści, stary sławny mistrz Bresson i młody artysta z podziemia, tym samym sposobem atakują nasz wzrok. Wzrok czy umysł, chodzi bowiem o obudzenie spostrzegawczości, zmysłu uśpionego, stępionego przez nadmiar bodźców. W gruncie rzeczy dziś w wieku kina i telewizji, fotografii i magazynów ilustrowanych, otacza nas tyle obrazów, że umysł, znużony, broni się brakiem reakcji. Patrzymy nie widząc, artysta, który pracuje w dziedzinie sztuki odwołującej się do oczu, musi nas skłonić do uwagi, gdyż inaczej jego wysiłek traci rację bytu. Długie ujęcia Bressona, uporczywe, 45-minutowe, jedno ujęcie Snowa mają cel wizualny. Skoro już przyszliśmy, nie pozostaje nam nic innego, jak tylko przyglądać się temu, co nam pokazują. Jednak chronieni jesteśmy przed nudą, rzeczą artysty, Bressona i Snowa, było sprawić, by obraz niepokoił, by pulsował zawartym w nim dramatem, byśmy — jak przyznał Antoni Bohdziewicz po pokazie „Długości fali" — chętnie pogrążyli się w kontemplacji miejsca i płynącego czasu. Snow i Bresson wprowadzają więc element napięcia i grozy, u Bressona wynika on z niejasnej, powikłanej więzi, jaka łączy dwie istoty ludzkie, u Snowa jest to denerwujący, nieustanny świst ścieżki dźwiękowej, odgłos czyichś kroków na schodach, echo strzału, który padł poza kadrem.**

**Napisano i to o „Długości fali" i innych filmach podziemia idących jej śladem, że „zdarzenia są w nich funkcją danej przestrzeni". Równie dobrze odnosi się to do filmu Bressona, przestrzeń decyduje o rodzaju i charakterze tego, co może się w niej zdarzyć. Przestrzeń, czyli przedmioty, które ją tworzą: dramat Łagodnej jest dramatem zasobnego, mieszczańskiego wnętrza, dramat, który domyślnie mógł zajść, i zaszedł, w „Długości fali" — tym, co na ogół dzieje się poza domem rodzinnym, w standardowych pokojach do wynajęcia, będących chwilowymi przystankami nieunormowanego życia. Relacja między człowiekiem a przestrzenią, w której człowiek działa, staje się wzajemna; gdy wybrana przestrzeń stanowi znak orientacyjny, informujący o postaci, postać w rewanżu czyni tę przestrzeń, dzięki podjętemu w jej ramach działaniu — wyraźną.**

**Rola przestrzeni, przedmiotów, rzeczy — pod warunkiem, iż będą dostrzeżone — jest tak wielka, że Bresson może sobie pozwolić na rezygnację z aktorów. Wiadomo, że realizację filmu każdorazowo poprzedza u niego żmudne poszukiwanie określonych typów ludzkich: postępowanie zrozumiałe, skoro w skończonym dziele ciężar znaczeń będą dźwigać nie ekspresyjne gesty i drgnienia twarzy, lecz sam wygląd; sposób, w jaki postać pasuje, to jest współgra i zmaga się z otoczeniem.**

**„Długość fali" i filmy jej podobne zostały już w rozprawach krytycznych sklasyfikowane pod mianem „strukturalnych". Klasyfikację uzasadnia m. in. to, że składniki są w tych filmach sprowadzone do możliwie najpełniejszej zgodności (gwarantującej spoistość struktury). Człowiek jest przede wszystkim „fizyczny", „psychologia" rodzi się ze starcia z innymi rzeczami fizycznymi. Zbieżność praktyki Bressona i podziemnych filmów strukturalnych jest nadto oczywista, zostawmy ją...**

**Filmy strukturalne przyjęto za następny krok w rozwoju kina podziemnego. Poprzednim był film „pop". I on, podobnie jak cała pop art, pragnął uwrażliwić ludzi na to, co widoczne. Szedł drogą prowokacji, burzył dotychczasowe kryteria rozróżniania tworów artystycznych, wyodrębniał, każąc podziwiać, „zajęcia" tak trywialne, jak sen człowieka (słynny, sześciogodzinny film Andy'ego Warhola). Film strukturalny porzucił środki drastyczne, zwrócił się raczej ku poetyckiemu zamyśleniu niż prowokacji. Jednak tu także uwagę do widocznego przyciąga coś, co wstrząsa i porusza. Bresson z rozpoczynającym film samobójstwem Łagodnej, Snow z słyszalnym strzałem zdają się mniemać, iż bez tego nie zdołaliby przejrzeć widzący ślepcy.**

☆

**Związków między awangardą czy podziemiem i artystycznym filmem „jawnym" dowodzi również „Adalen 31" Bo Widerberga. Równocześnie z pokazem „Adalen 31" na Konfrontacjach, kino studyjne wyświetlało Widerberga „Miłość Elwiry Madigan". Piętno indywidualnego stylu noszą oba te filmy, styl zaś umożliwiły dobrodziejstwa nowoczesnej techniki, czułość kamer i taśmy, a podpowiedziało — bez obrazy dla Widerberga — podziemie.**

**U Widerberga bez pachnie — mówili między sobą widzowie. Obraz nabrał — mógł nabrać — zmysłowej pełni, zabiegi reżysera zmierzają do tego, byśmy pozwolili się jej urzec. Widerberg odważa się na rzecz, przed którą zawahali się Bresson i podziemni strukturaliści: nie zagrożenie wyczarowuje z widzialnego świata, lecz bezpretensjonalną, może naiwną prostotę. Ufa naszej miłości do przyrody, do kolorowego, pachnącego konkretu, a rozbudza tę zagubioną w potoku codzienności miłość pokazaniem doświadczeń ludzkich, bliskich i będących udziałem każdego. Niczego zdrożnego, niczego skomplikowanego nie robią i nie przeżywają postaci w filmach Widerberga. Może dlatego wzmacniają one naszą więź z ludźmi i ze światem. Jest to moralnie czyste i napawa optymizmem zarówno w stosunku do nas — ponieważ okazuje się, że nasza wrażliwość zdolna jest się ocknąć, jak i w stosunku do sztuki, która stawia sobie zadanie: przegnać widmo wyobcowania.**

JACEK FRUHLING

# Warszawski notatnik teatralny

Weszło już w zwyczaj, że albo tygodniami nie ma w teatrach warszawskich nic nowego, albo też niemal codziennie sceny stołeczne występują z premierami. Lawina tych premier spadła na Warszawę w marcu. Zacznijmy od Teatru Polskiego. Zaprezentował on prawie nie znaną w Warszawie sztukę Szekspira *„Cymbelin"*. Jest to baśń poetycka o nieprawdopodobnych sytuacjach i równie nieprawdopodobnej fabule, ujmująca prostotą, bezpośredniością i ciepłem, pełna gorzkich refleksji na temat wojen i rzezi. Sztukę zainscenizował *August Kowalczyk* na ogół sprawnie i fortunnie. Można by tylko spierać się o to, czy konieczne było wprowadzenie nie istniejących u Szekspira dwóch komentatorów w sposób łopatologiczny wyjaśniających na podstawie tekstu zabranego innym postaciom „Cymbelina", zawarte w utworze treści. Nie schodzą oni ze sceny przez cały wieczór, co po pewnym czasie zaczyna drażnić i nużyć. Wykonanie sztuki na ogół na poziomie nieprzeciętnym. Na czoło wybija się jako niewydarzony syn królowej, cymbał nad cymbałami, *Jan Kobuszewski*. Wyposażył tę postać w dyskretny humor, potrafił znaleźć dla tego swego bałwana tony bardzo ludzkie. Sekunduje mu dzielnie jako dworzanin *Bronisław Pawlik*, Cymbelina gra przekonująco *Tadeusz Fijewski*, sprawiający chwilami wrażenie piernikowego króla. Jego młodziutką córką, przypominającą Violę z „Wieczoru Trzech Króli„ jest adeptka *Anna Nehrebecka*. Choć brak jej jeszcze środków technicznych, których rola ta wymaga, podbija wdziękiem a przede wszystkim urokiem młodości. Pięknie zarysowała sylwetkę niedobrej intryganckiej królowej matki *Zofia Petri*.

Teatr Ludowy zademonstrował nie znanego niemal w Warszawie Moliera. Zobaczyliśmy w inscenizacji i w przekładzie *Bohdana Korzeniewskiego*, *„Łotrostwa Skapena"*. Jest to komedia o starych i młodych. O tym jak trudno tu o wzajemne zrozumienie, jaka przepaść dzieli pokolenia. Mamy również do czynienia z frontowymi atakami Moliera na bezmyślną tępą biurokrację a zwłaszcza na wszystko, co się łączy z Temidą, z wymiarem sprawiedliwości. Choć napisane to zostało kilkaset lat temu, słucha się tego jak aktualnej opowieści o dniu dzisiejszym. Niestety nie udało się reżyserowi pokazanie sztuki w otoczce śmiechu. Zawinili tu wykonawcy, nie umiejący z małymi wyjątkami wykrzesać ze swych ról humoru i śmiechu. Płynie to niezawodnie z tego, że aktorzy nasi nie tylko z Teatru Ludowego bardzo rzadko stykają się z Molierem, który wymaga niełatwego do utrafienia tonu i klimatu.

Jeżeli chodzi o stronę aktorską to istny koncert gry aktorskiej daje Teatr Współczesny zarówno w sali swojej przy Placu Zbawiciela jak i w salce na ulicy Czackiego. Na Mokotowie Axer wystąpił z prapremierą polską, przeróbki scenicznej „Tańca Śmierci" Strindberga. Dokonał jej Duerrenmatt, przenosząc wstrząsający dramat, rozgrywający się między nienawidzącymi się nawzajem małżonkami, na ring bokserski. Nie jest to transpozycja najszczęśliwsza; jak uczy doświadczenie w Polsce Strindberg radzi sobie doskonale bez duerrenmattowskich protez. Tak to oceniono w Szwajcarii, gdzie po jeszcze jednej przeróbce scenicznej — tym razem Duerrenmatt wziął na stół operacyjny „Jana III" Szekspira — rozstano się z Duerrenmattem jako z kierownikiem teatru w Bazylei. Wersja duerenmattowska nazwana *„Play Strindberg"* znalazła w Warszawie wykonanie arcy znakomite. Dotyczy to przede wszystkim *Tadeusza Łomnickiego*. Jęgo rotmistrz, zżerany przez nienawiść do żony i otoczenia oraz przez śmiertelną chorobę, to chyba najlepsza z kreacji tego aktora na przestrzeni lat 25. Wspaniałe prowadzenie dialogu, niepowtarzalna mimika. A jak cudownie artysta odtwarza stany znieruchomień, bezwładu i zapaści, jaki jest przepyszny, kiedy raz po raz zapewnia otoczenie: jestem zdrów jak ryba, pożyję jeszcze ze dwadzieścia lat. Mniejsze pole do popisu ma *Barbara Kraftówna*, chyba dlatego, że Duerrenmatt nieco mgliście naszkicował kontury tej postaci. Nie znaczy to, aby ta jej wyranżerowana aktorzyca, którą zamknięcie w wieży w towarzystwie rotmistrza doprowadziło do pół obłędu, nie miała w wykonaniu artystki scen i momentów olśniewających. *Andrzej Łapicki*, trzeci w tym tercecie, jak zawsze podbija mistrzostwem dialogu.

Koncertem gry aktorskiej są również trzy jednoaktówki Pirandella ukazane w sali na Czackiego pod tytułem *„Kretyn i spółka"*. Pirandello daje w nich upust i wyraz fantazji, konstruuje ludzi i wydarzenia na podstawie gry wyobraźni. Zabawa jest przepyszna, między innymi dlatego, że aktorzy o tak nieodpartej sile komizmu jak *Michnikowski* i *Wołłejko* ukazują się w kilku wcieleniach. Ileż w tych ich kreacjach dyskretnego, zadumanego, melancholijnego humoru, jaka precyzja i delikatność w rysowaniu, rzeźbieniu, modelowaniu szczegółów i szczególików, jaka zdumiewającą sprawność gestów, ruchów i odruchów. Byłoby niesprawiedliwością, gdybyśmy obok tych arcywykonawców nie wymienili kapitalnych w rolach epizodycznych *Mrożewskiego i Surowy*.

Towarzystwo Przyjaciół Łodzi dorocznym zwyczajem, z okazji Międzynarodowego Dnia Teatru, wyróżnia jeden z teatrów łódzkich za najwartościowszy pod względem artystyczno-ideowym spektakl.

W roku bieżącym jury pod przewodnictwem red. Sergiusza Kłaczkowa rozpatrywało spektakle zrealizowane na scenach łódzkich w czasie od 15. III. 1969 do 1. IV. 1970 r.

**NAGRODĘ „SREBRNEJ ŁÓDKI" PRZYZNANO PAŃSTWOWEMU TEATROWI NOWEMU ZA SCENICZNĄ REALIZACJĘ SZTUKI „ŻYCIE JEST SNEM"**. P. Calderona, w reżyserii Witolda Zatorskiego, scenografii Henri Poulaina, w opracowaniu muzycznym Anny Płoszaj.

Rozpatrywano również kandydatury wyróżniających się spektakli: w Teatrze Jaracza „Irydiona" Zygmunta Krasińskiego (inscenizacja, reżyseria i scenografia — Jerzy Grzegorzewski). W Teatrze Powszechnym „Henryka V" Szekspira (inscenizacja i reżyseria Maciej Z. Bordowicz), a także „Anabaptystów" Duerrenmatta i „Będę mówił szczerą prawdę" D. Ala (Teatr Jaracza i Teatr Nowy).

Gratulujemy Teatrowi Nowemu zdobycia „Srebrnej Łódki", a wszystkim Teatrom składamy najserdeczniejsze życzenia z okazji Ich święta

## TV OBIEKTYW

## Telewizja i radio

W poglądach na telewizję pada często sformułowanie, że elementem wyróżniającym ją od radia jest warunek, by coś działo się na ekranie. Jest w tym sądzie coś prawdziwego i coś nieprawdziwego jednocześnie. Zapewne, że coś na ekranie telewizora dziać się musi. Ważne jednak, jaką treść podkładamy pod owo „dzianie się".

A więc na przykład! Jeżeli na ekranie widzimy przez długi czas twarz jednego człowieka i słuchamy tego, co on mówi, to czy to znaczy, że nic się nie dzieje? Jak czasem. Wiemy, że dobry aktor potrafi utrzymać zainteresowanie widzów nawet w wypadku, gdy jedyne „dzianie się" stanowi jego gra w zbliżeniu, mimika, ruch mięśni twarzy, kontrolowany grymas.

Przypomnę Ryszarda Filipskiego i jego występy przed kamerami. „Raport z Monachium", „Co jest za tym murem?". Działo się coś na ekranie, czy nie działo? A może to była raczej konwencja radiowa? Chyba wszyscy zgodzimy się że to była telewizja. Że samo słuchanie głosu Filipskiego za pośrednictwem radia nie dałoby nam tej pełni wrażeń, której doznaliśmy przed telewizorem.

A więc mamy już jeden przykład. Sięgnijmy do innej parafii. Ostatnio pisałem w T-O o „teatrze" Melchiora Wankowicza. Tu marginesowa uwaga. Już po złożeniu tego felietonu w „Odgłosach" przeczytałem sąd na ten sam temat w „Życiu Literackim" pióra Zbigniewa Kwiatkowskiego. Aż mnie trochę zaszokowała przypadkowa zbieżność naszych z Kwiatkowskim odczuć. On również odebrał rozmowę z Wańkowiczem jak spektakl teatralny.

Wracając jednak do toku naszych rozważań, zastanówmy się, dlaczego i w wypadku rozmowy z Wańkowiczem mieliśmy poczucie telewizyjnego dosytu. Dosytu, którego nie dałoby nam radio, mimo że mogłoby przekazać całość rozmowy Wańkowicza z Małachowskim. Otóż znowu na ekranie coś się działo. Szczególnie wtedy, gdy wypełniało go duże zbliżenie twarzy Wańkowicza.

Czy było to porównywalne z monodramami Filipskiego? Nie. Tam — stwierdziliśmy — mimika, każde drgnięcie mięśnia twarzy było kontrolowane, modelowane po aktorsku, tu była nieświadoma gra twarzy. Wańkowicz skupiony był na tym co mówi, co najwyżej na ładnym w sensie językowym kształtowaniu wypowiedzi. Natomiast gra jego twarzy była bezwiedna, nie kontrolowana.

Ale czy to znaczy, że ze śledzenia tej nie zamierzonej gry skłonni bylibyśmy zrezygnować? Nigdy w świecie! Ileż smaku miało to czyhanie na pisarza, na momenty, w których nieświadomie sygnalizował twarzą coś ze swoich wewnętrznych przeżyć.

Można by zastanowić się jeszcze nad problemem tego co dopuszczalne w stosunku do aktora, który ze swej twarzy czyni dla nas widowisko, a co w stosunku do nie-aktora. U aktora razić nas będą miny i gesty przypadkowe, wszelkie błędy językowe, przekręcenie, czy zapomnienie kwestii. Wszystko to dyskwalifikuje profesjonalistę, mamy prawo wymagać od niego „czystego" przekazania nam tekstu.

Z aktorem nieprofesjonalnym, bo takim jest i Wańkowicz, gdy występuje na ekranie, sprawa jest inna. Tam darowujemy najróżniejsze potknięcia, zwiększenia głosu, chwile namysłu. Przeciwnie, często właśnie te szczegóły nie przewidziane nas fascynują. Ostatnio śledziłem właśnie od tej strony rozmowę Samsela z Romanem Bratnym, Januszem Wilhelmim i Michałem Sprusińskim. Słuchałem treści ich wypowiedzi, a rejestrowałem zewnętrzne reakcje.

Przy takim nastawieniu wszystko nabierało jakiegoś znaczenia. I manewrowanie Wilhelmiego fajką (które mi się nie podobało), i wahadłowy ruch Bratnego między stanem pewnego zażenowania (mówić o sobie — to każdego człowieka żenuje) a zaangażowaniem się w rozmowę bez reszty. I wiele innych spraw.

Doprawdy, bardzo powierzchowne jest traktowanie telewizyjności wyłącznie jako relacji jakichś zdarzeń na ekranie. Sondowanie wnętrza człowieka poprzez reakcje jego twarzy, toż to pasjonujący spektakl! Spektakl telewizyjny, którego nie zrównoważy akustyczny przekaz radiowy.

Władysław Orłowski

## O FILMACH DOBRZE I ŹLE

„TEN STRASZNY DZIADEK" uzupełnia listę wielu złych filmów, które ogląda się lub do których się nawet powraca ze względu na występujących w nich aktorów. Kino amerykańskie i francuskie dostarcza tu nader wielu przykładów. Dla Betty Davis, Gary Coopera, Spencera Tracy, dla Michele Morgan, Louis Jouveta, Michel Simona gotowiśmy akceptować filmy, które bez ich udziału trudne byłyby do przyjęcia.

„Strasznym dziaduniem" w filmie J. Poitrenaud jest właśnie Michel Simon. Po wielu latach rozstania, spotkanie z Simonem jest niemal świętem, szczególnie wzruszającym, zwłaszcza dla tych, którzy cenią sobie wspomnienia znakomitej tradycji francuskiego aktorstwa, reprezentowanego w filmie właśnie przez Simona, Jouveta i Raimu.

Sądzić należy, iż film „Ten straszny dziadek" zrealizowano właśnie dla Simona, proponując nie tylko postać, lecz stwarzając świat, którego już, przynajmniej w kinie, nie ma. W czasach, gdy na ekranach świata panuje pełna swoboda obyczajowa i erotyzm, gdy żaden niemal szanujący się filmowiec nie podpisze się z wiarą pod dekalogiem cnót, a przynajmniej nie lubią smakować wielkie aktorstwo, ale i tym także, którzy w cnoty nie wierzą, nie tyle jako skuteczne, co nie szkodliwe antidotum.

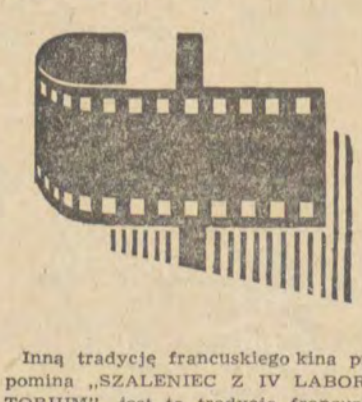

Inną tradycję francuskiego kina przypomina „SZALENIEC Z IV LABORATORIUM", jest to tradycja francuskiego humoru, dowcipu, umiejętności parodii, kpiny z tego, co obce jest galijskiej lekkości i fantazji.

Tytułowym bohaterem filmu jest chemik — uczony, który wynalazłszy gaz wywołujący stany radosnej euforii i życzliwości dla bliźnich, a także gaz „prawdy" popada w straszliwe perypetie. Agenci obcego wywiadu zechcą oczywiście zdobyć tajemnicę wynalazku doktora Balanchon. Toteż nasz bohater zdany jedynie na własny talent i praktyczne umiejętności przeżyje nie lada opresje, wychodząc z nich oczywiście zawsze w glorii zwycięstwa.

W przygodach doktora Balanchon odnajdziemy wszystkie stereotypowe postacie i sytuacje znane z filmów, w których gwałt, sadyzm i erotyzm walczą o prymat. Sensacja i gangsterstwo przefiltrowane gruntownie przez sito francuskiego poczucia humoru jawią się jako wielce zabawna i z galijskim smakiem przyrządzona parodia gatunku.

Komizm zawarty w inscenizacjach i rozwiązaniach sytuacji służy zresztą nie tylko rozgrywce. Autorzy filmu używają sobie niezgorzej na rodakach, ulegających wpływom amerykanizacji. Przykładem niechaj będzie choćby znakomita sekwencja pobytu pana Balanchon i jego przyjaciół w parku, w którym zażyć można przygód z Dzikiego Zachodu. Cały film zresztą, parodiując to, czym karmi się widzów dzisiejszego kina jest celną kpiną z ich gustów.

Śmiem sądzić, iż tak dobrej komedii, w której lawina dowcipów sytuacyjnych i słownych idzie w parze ze świetnym, w najmniejszych nawet epizodach, aktorstwem dawno nie było na naszych ekranach.

Wystarczy tu choćby przytoczyć dwa tylko nazwiska: Pierre Brasseura i Bernarda Bliera, by przypomnieć jeszcze jedną dobrą tradycję francuskiego kina — wszechstronnego aktorstwa głównych jego bohaterów, którzy z równym talentem demonstrują swe umiejętności w rolach postaci tragicznych jak i komicznych. Jest to zresztą tradycja każdej wielkiej sztuki aktorskiej. Szkoda, iż tak rzadko pamięta się o tym w polskim kinie, które ma do dyspozycji tak znakomitych aktorów. Z niedawnych dziejów polskiego filmu przypomnijmy choćby role Barbary Kraftówny, Bronisława Pawlika, Franciszka Pieczki, świetnych zarówno w rolach komediowych jak i tragicznych.

EWA NURCZYŃSKA

W następnym numerze „ODGŁOSÓW"

- WIESŁAW PUŚ — Lenin a sprawa niepodległości Polski
- ZOFIA TARNOWSKA — Życie do stu dwudziestu
- JANKA BRYL — Kozaczek
- Recenzje, felietony, nowela kryminalna

# Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

### VIGELAND

**Ponad** czterdzieści lat pracował norweski rzeźbiarz Adolf Gustaw Vigeland (1869—1943) nad największym dziełem swego życia — kompleksem trzystu rzeźb, zwanym Frogner-park albo Parkiem Vigelanda w Oslo. W tym monumentalnym dziele wyrazić chciał poprzez alegoryczne rzeźby i ich układy, swą życiową filozofię oddać radości i smutki, ukazać zmienność losu człowieka i jego walkę z przeciwnościami.

Centralnym elementem Parku Vigelanda jest ogromny obelisk pokryty płaskorzeźbami splecionych nagich ciał w męce wijących się ku górze. Wokół obelisku roztacza się szeroka panorama grup symbolizujących zmienność ludzkich losów. Mamy tu więc „Koło życia", „Kręgi losu", „Radość macierzyństwa", Radość młodości" itp. Są też inne grupy rzeźb których symbolika jest zawiła i nie dość jasna.

Park Vigelanda wywoływał kontrowersje. Nie negując artystycznych wartości figur i ich grup, zarzucano rzeźbiarzowi brak jednolitej koncepcji architektonicznej. Ale gdy w trakcie projektowania dzieła proponowano mu współpracę architekta, Vigeland odpowiedział: „Dwie matki nie mogą rodzić jednego dziecka".

Adolf Gustaw Vigeland urodził się sto lat temu w roku 1869 jako syn stolarza. Ojca miał okrutnego i surowego, który go często bił. Do końca życia rzeźbiarz będzie pamiętał cięgi, jakie otrzymywał od ojca. Skarżył się do przyjaciół, że nie może zapomnieć swego ciężkiego dzieciństwa. Za

*Grupy rzeźb wokół obelisku w Parku Vigelanda w Oslo*

*Obelisk w Parku Vigelanda w Oslo*

to wiele serca okazywał Adolfowi Gustawowi jego dziadek, snycerz. On to wykrył rzeźbiarskie zdolności wnuka i on go wysłał do snycerskiej szkoły w Oslo. Niestety wkrótce dziadek, snycerz. On to przyszły słynny rzeźbiarz traci nie tylko jego, ale i rodziców, zostaje sam w straszliwej nędzy. Kształci się jednak dalej. Już wtedy zaczyna rysować projekty rzeźb, ale nie stać go na ich realizację. W przystępie rozpaczy udaje się do nadwornego rzeźbiarza królewskiego, Bergsliena i pokazuje mu swe prace. Ten od razu zorientował się w wybitnych zdolnościach artystycznych młodego Vigelanda i wyrobił mu stypendium na wyjazd do Danii. Vigeland kształci się więc nadal w Kopenhadze. Tu wykonuje swą pierwszą większą rzeźbę zatytułowaną „Wygnaniec" (początkowa nazwa „Kain"). Dzieło to wyraża krańcową rozpacz i beznadziejność — jest zdaje się odbiciem tragicznych przeżyć autora. W roku 1892 Vigeland przebywa w Paryżu i poznaje Rodina, którego wpływ tak wyraźnie zaznaczy się później w dziełach norweskiego rzeźbiarza. Wkrótce Vigeland, dzięki bystrości obserwacji i umiejętności artystycznego uchwycenia specyficznego wyrazu portretowanej twarzy, staje się znakomitym rzeźbiarzem-portrecistą. Wykonuje popiersia tak sławnych pisarzy skandynawskich jak Ibsen, Strindberg, Björnson, Knut Hamsun.

Jedną z najbardziej znanych rzeźb Vigelanda jest pomnik ku czci norweskiego poety, Wergelanda. Postać poety uchwycona jest w momencie twórczego natchnienia, z odrzuconą w tył głową i przymkniętymi oczami.

W roku 1893 Vigeland wyrzeźbił popiersie Stanisława Przybyszewskiego w zadziwiająco trafny sposób oddając jego niepokój i wewnętrzne rozdarcie.

### W STULECIE ŚMIERCI LAUTREAMONTA

Kiedy w roku 1860 czternastoletni, syn wysokiego urzędnika konsularnego w Urugwaju, Isidore-Lucien Ducasse poróżnił się ze swym ojcem, ten ostatni postanowił wysłać go z Montevideo do Francji. Młody Ducasse przybywa więc do Tarbes gdzie uczy się w liceum. Ponieważ przejawia żywe zainteresowanie naukami ścisłymi zamierza następnie studiować w Szkole Politechnicznej.

W roku 1867 Isidore-Lucien Ducasse przybywa do Paryża. Do dziś nie są dokładnie znane jego losy w początkowym okresie paryskim. Stronił od ludzi, toteż biografowie nie są w stanie zrekonstruować jego życiorysu. W roku 1869 Ducasse publikuje za własne pieniądze zbiór lirycznej prozy pt. „Les Chants de Maldoror". Ów zbiór zostaje podpisany pseudonimem Lautréamont (pod takim tytułem Eugenjusz Sue napisał romans historyczny). Utwór „Śpiewy Maldorora" jest jednym z najbardziej pesymistycznych i posępnych w całej literaturze francuskiej. Dzieło nie wywołuje żadnego oddźwięku. W roku 1870 Lautréamont ogłasza nowe dzieło pt. „Poezje: wstęp do przyszłej księgi", broszurę w której ujawnia nagły optymizm i odnosi się krytycznie do swego poprzedniego utworu. Ale i to dzieło nie przynosi mu rozgłosu, autor pozostaje nadal nieznany i dopiero pod koniec XIX wieku L. Bloy zauważa „Śpiewy Maldorora" traktując je jako wytwór szaleńca skłóconego ze światem i Bogiem.

W czterdzieści lat po śmierci autora, około roku 1910 niespodziewanie wybucha niezwykłe, entuzjastyczne odkrycie utworu Lautréamonta. Nadrealiści powołują się na „Śpiewy" jak na Ewangelię, kreują autora na swego prekursora i proroka, stawiają go na równi z Rimbaudem, drukują utwór (pierwsza edycja w roku 1919), analizują go, powstaje szereg uczonych rozpraw, podjęte zostają szczegółowe badania nad twórczością i życiem Lautréamonta.

„Śpiewy Maldorora" zaważyły decydująco na rozwoju francuskiej poezji współczesnej. Do dziś Lautréamont jest przedmiotem pilnych badań i niezwykłego zainteresowania. W związku z setną rocznicą śmierci pisarza ukazać ma się we Francji szereg publikacji m. in. „Lautréamont" Francois Caradeca, wydanie kompletne dzieł, „Życie Lautréamonta" napisane przez Edourda Peyrouzet i inne.

### NOWA PARYSKA GRUPA BALETOWA

Felix Blaska, dwudziestoośmioletni (z pochodzenia podobno Polak) występuje, wraz ze stworzonym

przez siebie zespołem baletowym liczącym dwunastu tancerzy, w paryskim Theatre de la Ville.

Blaska był jednym z najbardziej utalentowanych tancerzy znanego zespołu choreograficznego Rolanda Petit.

Spektakl taneczny jest krótki, trwa zaledwie godzinę, ale Blaska zyskał sobie duże uznanie. „Nie mam ambicji, aby wyrażać w tańcu głęboką filozofię — powiedział. — Chcę dać ludziom rozrywkę i trochę radości". Jak twierdzi recenzent tygodnika „L'Express" udało mu się to w pełni.

### DAR PABLA PICASSA DLA MUZEUM PICASSA W BARCELONIE

Pablo Picasso ofiarował ostatnio muzeum swego imienia w Barcelonie dar w postaci prywatnej kolekcji swych obrazów znajdującej się dotąd pod opieką rodziny (matki artysty, jego siostry Loli i szwagra) w Barcelonie.

Dar składa się z ośmiuset dzieł.

## Spektakle tygodnia

| | Spektakli | Widzów | proc. |
|---|---|---|---|
| TEATR WIELKI | | | |
| „Romeo i Julia" | 1 | 1260 | 100 |
| „Tosca" | 1 | 1260 | 100 |
| „Faust" | 1 | 1260 | 100 |
| „Straszny Dwór" | 1 | 1260 | 100 |
| „Królewna Śnieżka" | 1 | 1260 | 100 |
| „Zemsta nietoperza" | 1 | 1260 | 100 |
| NOWY | | | |
| „Dziś do ciebie przyjść nie mogę" | 3 | 2100 | 100 |
| „Będę mówił szczerą prawdę" | 2 | 800 | 60 |
| „Życie jest snem" | 2 | 1400 | 100 |
| MAŁA SALA | | | |
| „Rodeo" | 1 | 200 | 100 |
| „Pelikan" | 2 | 400 | 100 |
| „Kaprys" i „Drzwi muszą być albo otwarte, albo zamknięte" | 2 | 200 | 50 |
| POWSZECHNY | | | |
| „Henryk V" | 5 | 2600 | 90 |
| JARACZA | | | |
| „Kolumbowie" | 4 | 2032 | 100 |
| 7.15 | | | |
| „Żołnierz Królowej Madagaskaru" | 4 | 1680 | 100 |
| OPERETKA | | | |
| „Pierwiosnki" | 7 | 6198 | 80 |
| FILHARMONIA | | | |
| koncerty symfoniczne | 2 | 1000 | 70 |

OD NIEDZIELI DO NIEDZIELI

## Zbierajmy pieniądze!

**KTO ZBIERA BILETY NBP? — KUPIĆ ŻYCIE — WYSTAWA PRZY PLACU WOLNOŚCI — BLASZKI I PAPIERKI — JEDNOSTKA CHOROBOWA? — CIEKAWA „KSIĄŻKA" — WARTO ZBIERAĆ!**

„Ubodzy duchem, którzy nic nie zbierają" — takie hasło widnieje w mieszkaniu pewnego łódzkiego kolekcjonera. Oczywiście można powiedzieć, że właściwie wszyscy zbieramy bilety Narodowego Banku Polskiego, ale to jest zbyt merkantylna odmiana zbieractwa, aby zasługiwała na specjalne honory. Prawdziwie bezinteresowną i szczególnie malowniczą odmianą kolekcjonerów są numizmatycy. Kompletują przecież pieniądze „nieważne", wycofane z obiegu, bez żadnej siły nabywczej... A przecież jakże to piękny i ciekawy dział zbieractwa. Pieniądz — choć nie istniał w początkach kultury — towarzyszy od tysiącleci już epokom, ustrojom, formacjom... Towarzyszy ludziom w ich życiu, działaniu jako uniwersalna miara wartości dóbr materialnych. Nie tylko zresztą. Już u początków historii pieniądza rozciągnął on swoją władzę także na dobra niematerialne. Za pieniądze można było kupić niewolnika i amforę wina — ale także wolność, sławę, a nawet życie.

Andrzej Banach w swej książce „Zbierajmy pieniądze" pisze: „Dziś patrzymy na dawne pieniądze jak na dokument historyczny, dzieło sztuki lub interesujący przedmiot kolekcji". Tak patrzą oczywiście tylko numizmatycy i historycy. I oni to właśnie zorganizowali w Muzeum Archeologicznym i Etnograficznym interesującą wystawę numizmatów z przebogatych kolekcji łódzkich zbieraczy. Jedenastu kolekcjonerów, z których prof. Józef Litwin zbiera od lat szkolnych, a Anatol Gupieniec od 1922 roku — wystawiło fragmenty swoich zbiorów. Prof. Litwin na przykład wystawił około 100 banknotów włoskich, mgr Gupieniec — pieniądze obozów jenieckich i koncentracyjnych, doc. dr W. Broniewicz medale i monety o tematyce uniwersyteckiej, Józef Lesiak monety polskie oraz krajów bałtyckich, Francji i USA, Stanisław Bulkiewicz natomiast — metalowe marki wojskowych spółdzielni, a także lodziana...

Rozmaitość ogromna, ale to nie wszystko. Mamy na tej wystawie także zachodnioeuropejskie monety wczesnośredniowieczne (W. Nasielski), medale polskie historyczne i współczesne (J. Strzałkowski), przegląd polskich monet od Mieszka I aż do chwili obecnej (K. Zbichowski), odznaczenia, odznaki pułkowe oraz znaczki z Leninem (L. Jasiński), pieniądze getta łódzkiego (W. Głuchowski), monety polskie z czasów Władysława Jagiełły (P. Andrzejewski)...

Wystarczy tej wyliczanki, aby zrozumieć, że zakręciło mi się w głowie na tej „pieniężnej" wystawie. A tu jeszcze organizatorzy mi mówią, że: „na pierwszy rzut oka wystawa wydaje się skromna. Należy jednak podkreślić, że bierze w niej udział zaledwie 10 procent zrzeszonych kolekcjonerów i że przedstawili oni tylko te tematy, które jeszcze nigdy dotąd nie były eksponowane w Łodzi"... Drodzy czytelnicy — nie wierzcie organizatorom! Wystawa jest szalenie ciekawa i bogata — a fakt, że to tylko część dorobku łódzkich numizmatyków, świadczy tylko, że w mieście, które praktycznie nie miało żadnych kolekcjonerskich tradycji, rozwinął się potężny ruch ludzi z pasją, którzy ocalają od zniszczenia te pozornie bez wartościowe blaszki i papierki... A przecież te blaszki i papierki to ogromny kawał historii ludzkości i historii Polski.

Numizmatycy wiedzą, że pieniądz towarzyszy ludziom od tysięcy lat, wiedzą, że kolekcjonują Historię. Nie wynaleźli pieniądza przysłowowi Fenicjanie, o czym mówią popularne porzekadła, lecz powstał on w wyniku rozwoju społecznego podziału pracy i powstanie to wiązało się z tzw. drugim wielkim podziałem społecznym, wyrażającym się w oddzieleniu rzemiosła od rolnictwa.

Tak więc każdy z tych metalowych krążków, każdy misternie zadrukowany banknot dokumentuje dzieje społecznych ruchów, przemian i układów. I pasje numizmatyków są pasjami historyków.

Może właśnie ów bliski, codzienny i dotykalny kontakt z przeszłością pozwala numizmatykom na dobrotliwą autoironię, na anegdotę, na żart ze swego „konika"... Pewien wybitny psychiatra, a zarazem zapalony numizmatyk wizytował kiedyś szpital psychiatryczny. „Słuchajcie, panie kolego — zapytał dyrektora — czy macie może numizmatyków?" Miał na myśli, rzecz prosta, jakąś „bratnią duszę" wśród personelu. Dyrektor stropił się wielce. „Panie profesorze — powiedział — mamy tu schizofreników, paranoików, ale numizmatyków? Przyznam się ze wstydem, że pierwszy raz słyszę o takiej jednostce chorobowej..."

Wśród ludzi panuje przekonanie (nie takie znowu głupie), że kiedy zaczyna ją się duże pieniądze — kończą się małe żarciki. Powiedział to kiedyś publicznie pewien uczestnik teleturnieju. Przy stawce 12 tysięcy złotych, na zachętę do dalszej gry, popartą zwrotem „to przecież zabawa" — odparł: „Dwanaście tysięcy to już nie zabawa — to pieniądze"... Numizmatycy patrzą na pieniądz bardziej filozoficznie. Śledzą wzloty i upadki monet i banknotów. Wiedzą, że ich moc jest zawodna, zależna od wielu czynników, wiedzą z historii pieniądza i własnych zbiorów, że — legendarny Milion może oznaczać równowartość pudełka zapałek. Dlatego oprócz pieniędzy kolekcjonują także anegdoty o pieniądzach.

Ale tego zbioru nie było na wystawie. Więc posłuchajcie: Car w dowód szczególnych zasług ofiarował pewnemu generałowi prezent. Perfidny to był dar. Generał był znany z niechęci do książek — więc car ofiarował mu... książkę. Ale była to książka, której stronice stanowiły banknoty 500-rublowe. Oczywiście generał do książki nawet nie zajrzał. Dopiero po latach odkrył carską złośliwość. Napisał więc list: „Najjaśniejszy Panie, długo czytałem tę książkę, ponieważ jest to bardzo mądra lektura. Bardzo bym chciał poznać drugi tom tego dzieła"...

Po co zbierać pieniądze, po co pisać o nich i czytać o nich? — pyta Andrzej Banach w swojej książce. „Może tylko dla ocalenia w a r t o ś c i? Pieniądz, który mierzy wartość, który wartość ustanawia, może ją uratować (...) Trzeba w czasach nieuznawania sądów obiektywnych uznać w tym zakresie, pozornie wąskim, istotnie szerokim — granicę między wartością a brakiem wszelkiej wartości. Może także dlatego, może tylko dlatego warto zbierać dawne pieniądze".

JERZY WIDOK

JOHN R. STARR

# Cyrkowiec

Mój szef, Bertram Moody, upominał mnie często, abym się nie upijał i nie spóźniał. Niestety — pobyt w każdej miejscowości kończył się zwykle tak, że wozy cyrkowe odjeżdżały, ja zostawałem, spłukiwałem się do ostatniego grosza, a szef przysyłał mi telegraficznie pieniądze na pociąg.

Także i owego poranka obudziwszy się w hotelu, stwierdziłem, że cyrk już odjechał do następnego miasta.

Wysłałem depeszę do Gruber Corners w Tennessee. Wkrótce otrzymałem odpowiedź: „Jeżeli przybędziesz punktualnie na dzisiejsze przedstawienie — O. K. — w przeciwnym razie uważaj się za zwolnionego z pracy. Serdeczności, Bert".

Gruber Corners znajdowało się pięćdziesiąt kilometrów i taką drogę miałem pokonać, aby zdążyć na godzinę 21. Była dziesiąta, gdy ruszyłem w drogę. Po sześciu godzinach dotarłem do miasta Selmer, odległego o dwadzieścia kilometrów od celu mojej podróży. Czułem, że nie wystarczy mi sił i spróbowałem autostopu. Lecz przejechało więcej niż tuzin samochodów i żaden nie zatrzymał się. Przeciwnie — na widok mojej wyciągniętej ręki — kierowcy zwiększali szybkość.

Położyłem się na trawie, aby odpocząć. Po kilku minutach usłyszałem warkot motoru i wyskoczyłem na szosę. Był to masywny wóz z oślepiającymi reflektorami. Ledwo podniosłem rękę, gdy już mnie minął. Jednak zatrzymał się o kilka metrów dalej. Pogalopowałem naprzód i wsiadłem do cadillaca.

— Dziękuję panu — rzekłem z uczuciem ulgi. — Już myślałem, że nikt się nie zatrzyma.

Kierowca, wysoki, potężny mężczyzna wyjaśnił: — W zeszłym roku pewien autostopowicz pobił i okradł właściciela samochodu. Teraz ludzie są ostrożni .

— Rozumiem — przyznałem, układając się wygodnie na przednim siedzeniu. — Czy pan daleko jedzie?

— A dokąd chciałby pan dojechać? — zapytał kierowca.

— Do miejscowości, która nazywa się Gruber Corners.

— Czy panu się bardzo śpieszy?

— Muszę tam być na godzinę 21. Pracuję w cyrku.

Zdziwił się. — I pan musi posługiwać się autostopem, aby gonić swych towarzyszy? Dlaczego?

Wyjaśniłem mu szczerze, iż mam brzydki zwyczaj upijania się po przedstawieniu i czasem nie mogę zdążyć ze wszystkimi. Zaśmiał się rozbawiony. — A więc nie będą na pana czekali!

— Przeciwnie, mój szef wścieka się na mnie. Depeszował.

— Będę przejeżdżał przez Gruber Corners, ale najpierw muszę wstąpić do domu. Zdążymy jeszcze przed 21. Będzie mi przyjemnie gościć pana choć kilka minut.

— Cieszę się bardzo — zapewniłem.

Przymknąłem oczy. Należało trochę odpocząć, aby pokazać się w formie na wieczornym przedstawieniu.

Po dziesięciu kilometrach jazdy skręciliśmy na boczną drogę. Jeszcze dwa kilometry i cadillac jechał wysfaltowaną alejką, która prowadziła do pałacu, stojącego w obszernym parku. Posiadłość była ogrodzona żelazną kratą. Wnętrze dwupiętrowego budynku przedstawiało się imponująco. Mój towarzysz zaprosił mnie do salonu i przysunął mi fotel. Następnie pociągnął za sznur antyczny dzwonka. Natychmiast zjawił się stary Murzyn o wystraszonej twarzy. Podreptał do przenośnego baru i wyjął stamtąd butelkę i kieliszki.

Gospodarz usiadł naprzeciw mnie. Gdy popijaliśmy whisky powiedział, że nazywa się Rudolf Hecht. To nazwisko nic mi nie mówiło, tak samo, jak moje — Bill Evans — nic nie znaczyło dla niego.

Zauważyłem, że mi się uporczywie przygląda, a tego nie znosiłem. Ale trudno, byłem w jego domu, piłem jego whisky. Alkohol, który mi palił żołądek, przypominał, że cały dzień nic nie jadłem. Ucieszyłem się, gdy Hecht zaproponował, abym zjadł z nim kolację.

Murzyn przyniósł dwa krwiste befsztyki. Próbowałem opanować się, aby nie pokazać głodu, lecz przychodziło mi to z trudnością. Nagle Hecht zapytał: — Ile pan waży?

— Około dziewięćdziesięciu kilogramów. Dlaczego?

— To znaczy mniej więcej tyle, ile ja.

— Wydaje mi się także, iż obaj jesteśmy tego samego wzrostu — uzupełniłem.

Czas posuwał się i gdy zegar na kominku wydzwonił godzinę 19, zacząłem się niepokoić. Hecht nie śpieszył się z odjazdem. Zaczął mi opowiadać o swoich sukcesach pięściarza w czasie studiów na uniwersytecie oraz o kilku spotkaniach z zawodowymi graczami. Słuchałem jednym uchem, denerwowałem się, byłem już blisko celu, czyż miałem rezygnować z przybycia na czas?

— Chyba się pan tym interesował? — zapytał gospodarz.

— Interesował, czym? — Pogrążony w myślach, nie zauważyłem, co mówił.

— Pytam się, czy pana interesowały zawody bokserskie dziesięć lat temu.

— Nie, nie bardzo. Nie przypominam sobie pana nazwiska.

— Nie walczyłem pod moim prawdziwym nazwiskiem. Mój ojciec nigdy by mi nie pozwolił.

— Jakiego nazwiska pan używał?

— Shane, Ted Shane.

— Shane?... „Zbrodniarz"! — krzyknąłem nie mogąc powstrzymać zdziwienia.

— Istotnie, tak mnie nazywano — „Killer".

Teraz patrzyłem na niego inaczej. Widziałem niegdyś w gazetach wiele fotografii boksera, zwanego Killer Shane, czytałem o nim w pismach sportowych. Pisano, że posiadał wszystko, aby zostać światowym mistrzem ciężkiej wagi. Wszystko, oprócz sportowego opanowania. Gdy przeciwnik tracił siły, Shane'a opanowywała mordercza pasja. Trzeba było interwencji sędziego i innych osób, aby mu wyrwać z rąk ofiarę. Gdy pierwszy raz zabił swego przeciwnika, zawieszono go na sześć miesięcy. Za drugim razem został usunięty z ringu na zawsze. Od tego czasu zniknął... I oto siedział teraz przede mną.

— Naturalnie, że pana poznaję — stwierdziłem. — Znam także kilkunastu redaktorów, którzy by dali nie wiem co, aby dowiedzieć się, co się z panem dzieje.

— Ale pan im nie powie o mnie, prawda, Evans?

— Na pewno nie! Każdy ma prawo żyć, jak mu się podoba.

Wpatrywał się we mnie tak intensywnie, że nagle poczułem paniczny lęk. Wstałem. — Panie Hecht, muszę teraz naprawdę odejść, jeżeli mam się spotkać z naszym zespołem o 21.

— Mamy jeszcze dużo czasu, proszę się nie obawiać — odrzekł.

Głos jego zabrzmiał tak dziwnie, że przebiegł mnie dreszcz. Widziałem teraz wszystko inaczej. Przypomniał mi się sposób, w jaki zapytał, czy ktoś mnie oczekuje. Odprawił na spoczynek Murzyna. Od kiedy weszliśmy do pałacu, Hecht nie zrobił niczego, co mogłoby usprawiedliwić zatrzymanie się tutaj... Starałem się opanować lęk i udawałem spokój.

— Jeżeli pan nie jest usposobiony do podróży to pójdę pieszo, nie mogę się spóźnić.

— Nigdzie pan nie pójdzie — rzekł twardo i wyciągnął z kieszeni rewolwer. — Proszę siadać — rozkazał.

Usiadłem. Serce skoczyło mi do gardła. Zapytałem: — Co to wszystko znaczy?

To tylko mała gra, którą

chciałem z panem rozegrać — odpowiedział. — Mała, lecz poważna.

— Jaka gra?

— Evans, czy pan walczył kiedy o swe życie?

— Nie wiem, co pan chce powiedzieć.

— Walka, w której chodzi o to, aby zabić lub być zabitym.

— W takiej grze nie brałem nigdy udziału.

— A gdyby pana zmuszono do walki?

— Wolałbym tego uniknąć — wyjąkałem z trudem.

Oczy Hechta zabłysły. — Ależ nie istnieje inny sposób walki na serio! — krzyknął. — Obecne zapasy pięściarskie to igraszki chłopaczków. Gdy prawdziwy mężczyzna rozpoczyna walkę, zaraz mu przeszkadzają głupie regulaminy. Mogłem być wielkim zapaśnikiem, lecz przezwali mnie „Zbrodniarzem". Wypędzili z ringu! I w ten sposób zmusili do szukania innego miejsca walki.

Wstał, dał mi znak rewolwerem, abym uczynił to samo. Wskazywał mi drogę, a ja posuwałem się wzdłuż nie kończącego się korytarza. Potem były różne schodki i wreszcie żelazne drzwi. Otworzył je. Znaleźliśmy się na platformie wiszącej nad pustą salą, wielką, jak pole tenisowe. Hecht nacisnął guzik w ścianie i wyskoczyły schodki prowadzące na podłogę sali.

— Proszę zejść! — rozkazał. — Niech się pan rozbierze i położy ubranie na schodach.

Gdy już stanąłem rozebrany w kącie ringu, Hecht wciągnął na górę schodki i zdjął z nich ubranie. Potem rozebrał się. Z kasety nad drzwiami wyjął dwa myśliwskie noże i spuścił schodki.

Przyglądałem się, jak schodził lekkim krokiem, muskuły drgały mu pod skórą.

— Czy pan umie manipulować nożem? — zapytał.

W tej samej chwili zauważyłem dziesiątki blizn na jego ciele, białych i jeszcze czerwonych.

— Kilka razy posłużyłem się nożem — powiedziałem, usiłując zachować spokojny ton głosu.

Pochylił się i rzucił jeden nóż pod moje stopy. Podniosłem go i zważyłem w ręku.

— W tych zapasach nie będzie reguł — oznajmił. — Może pan używać broni, jak panu wygodnie. Jeżeli pan mnie zabije, są schody, można stąd wyjść. Wóz jest otwarty, klucze znajdują się obok tabliczki rozdzielczej cadillaca. Murzyn jest prawie ślepy, nie mógłby opisać pana wyglądu. Nie ma pan się czego bać, jeżeli pan mnie zabije.

— A jeśli pan mnie zabije?

— Ja też nie potrzebuję obawiać się niczego! Nikt nie wie, że pan tu jest. Mamy równe szanse.

— Jak to równe? Przecież pan już nieraz urządzał takie zapasy, a ja....

— Trzydzieści razy, pan jest trzydziesty pierwszy. Niektórzy z przeciwników podeszli bardzo blisko, co widać z moich ran.

Zrobił krok naprzód. Pochyliłem się i trzymałem nóż w pogotowiu.

Pozwoliłem, aby się jeszcze zbliżył, obliczyłem dobrze odległość i punkt, w który powinienem uderzyć. Gdy był o cztery metry ode mnie — wyrzuciłem nóż. Zagłębił się w jego piersi dokładnie w tym miejscu, do którego celowałem. Mężczyzna upadł i nie poruszył się więcej.

Ubrałem się szybko i pobiegłem do wyjścia. Na dole pojawił się Murzyn z wyciągniętymi ramionami, jak by chciał mnie udusić. Bez lęku wysunąłem się naprzód i podstawiłem mu nogę. Upadł ciężko na ziemię. Samochód stał przed pałacem. Włączyłem motor i wyjechałem z alejki.

Prowadząc maszynę dziękowałem niebu, że Hecht nie był łucznikiem lub strzelcem. Nie pomyślał o tym, aby mnie zapytać, co robiłem w cyrku. Wówczas dowiedziałby się, że byłem największą jego atrakcją — ja, Bill Evans, słynny miotacz noży.

Oprac. A. S.

## Uwaga, Czytelnicy!

W numerze wielkanocnym naszego tygodnika wydrukowaliśmy krzyżówkę świąteczną. Dziś spieszymy poinformować miłośników rozrywek umysłowych, że rozwiązanie tej krzyżówki należy nadsyłać pod adresem naszej redakcji do dnia 1 maja br. (decyduje data stempla pocztowego).

Na szczęśliwych zwycięzców czekają wartościowe nagrody:

— Zegarek (budzik)
— Suszarka do włosów
— Wydawnictwo albumowe

## *Lewym okiem*

### *JAK PALIĆ KOMPROMITUJĄCE PAPIERY?*

*Jednym ze zdumiewających procesów, jakie dadzą się wyśledzić i sformułować w tym ogromnym i trwającym od tysiącleci splocie zjawisk, który nazywamy postępem technicznym, jest chyba odrywanie cech od rzeczy, kreowanie samoistnych, obiektywnych bytów tam gdzie istniały jakości, immanentnie — zdawało się — związane z przedmiotem, niemożliwe bez niego do pomyślenia.*

*Naszym praojcom nie mogło przecież pomieścić się w głowie, że możliwe jest oglądanie rzeczy tam, gdzie tej rzeczy nie ma. Obraz był oczywistą cechą rzeczy, nie mógł bez niej egzystować. Był jej duszą. Najstarsze rysunki zwierząt na ścianach jaskiń tłumaczą niektórzy uczeni chęcią zaklęcia zwierzyny poprzez manipulowanie jej wizerunkiem, jej duszą. Przekłucie szpilką lub spalenie czyjejś podobizny jeszcze stosunkowo niedawno uważano za torturę, zadaną samemu człowiekowi. Z biegiem stuleci obraz emancypował się, zaczynał istnieć własnym, suwerennym istnieniem. Można było na fotografii zatrzymać obraz twarzy człowieka, który już przestał istnieć. Film pozwolił zachować nie tylko obraz świata, zastygłego w nagłym bezruchu, lecz w całej złożoności jego dynamiki, rozwoju, działania się. Telewizja umożliwiła przenoszenie takiego obrazu na dowolne odległości. Gdy jeszcze otrzymamy telewizję kolorową — okaże się, że i barwa nie jest związana z rzeczą, że można ją traktować jak oddzielny byt i że można nie wychodząc z pokoju oglądać w pełnej krasie sprawy dziejące się bardzo dawno lub bardzo daleko.*

*Podobnie rzecz się miała z głosem. Jak można słyszeć mówiącego człowieka, którego wśród nas wcale nie ma? Gdy w 1878 roku, a więc niespełna sto lat temu, demonstrowano w Paryżu po raz pierwszy fonograf Edisona, uczony Bouilland krzyknął oburzony: „— Myślicie, że dam się nabrać bezczelnemu brzuchomówcy?" A oto dziś wystarczy marny pasek papieru, żeby usamodzielnić głos, uniezależnić go od źródła, zapisać, uwiecznić, odtwarzać w dowolnym czasie i miejscu, ba — manipulować nim przy pomocy... nożyczek i kleju! Nożyczkami można zniekształcać piękny śpiew, klajstrem połączyć żabi rechot z trelami słowika w jeden dźwięk, nie wydany nigdy przez żadne gardło. Radio przeniesie dźwięki dokąd zechcemy. Dźwięk — nowy, uprzedmiotowiony byt, kreowany przez postęp techniczny.*

*Na co dzień nie zastanawiamy się nad dziwnością tego wszystkiego. Mówimy: śpiewa Piaff, popatrz! A przecież Piaff nie żyje, chociaż jednocześnie śpiewa w milionie miejsc, tu się uśmiecha, tam tańczy, gdzie indziej płacze. Wszystko jest możliwe jednocześnie, chociaż wszystko jest „jak gdyby".*

*„Co do mnie — może pan wierzyć, lub nie — cieszę się z ognia tak samo jak dzikus. Ogień! Gałęzie płoną! Tlą się pnie! To Bóg najwyższy, Deus Magnificus!" — wołał Tuwim, za fascynowany pięknem ognia. Ogień — to było ciepło. Nie było ciepła bez ognia. A teraz i nie długo w wielkich miastach ogień, prawdziwy, płonący, dymiący, pachnący ogień stanie się tak samym przeżytkiem, jak dorożkarski koń. Gdyby któryś z bohaterów Balzaca zechciał nagle w mieszkaniu M-2 spalić kompromitujące papiery — to jak by to zrobił? Pieca w ogóle nie ma. Kaloryfery nie dadzą rady. W kuchni elektryczna maszynka. Nic nie nigdzie nie pali, najwyżej papieros. Czy można spalić dokumenty na wytwornej popielniczce z Cepelii?*

*Prawdopodobnie znajdziemy sposób na konserwowanie zapachów i przesyłanie ich na dowolne odległości z szybkością światła, czyli absolutną, nie angażującą czasu w ogóle. Może też wymyślimy urządzenia, które potrafią wyłapać spomiędzy mlecznych dróg odbicie zdarzeń, rozgrywających się na naszej Ziemi przed tysiącami lat, w dowolnym czasie i miejscu. Nadamy sobie we własnej sypialni seans z Kleopatrą, jej głosem, obrazem, zapachem, wdziękiem, kształtem i z czym kto zechce. Pokój będzie Nilem, za oknem piramida i żywy Noe, przy drzwiach oswojony dinosaur. Wszystko naraz i wszystko jak gdyby.*

*Zwariować można, ale to jest fantastyczne. Fantastycznieśmy narozrabiali, my — ludzie. Jak się tak przez chwilę zastanowić...*

*ĆWIEK*

Redaguje zespół: Jan Koprowski (redaktor naczelny), Karol Badziak (dział terenowy), Konrad Frejdlich (dział publicystyki), Roman Łoboda (kier. działu literackiego), Andrzej Makowiecki (dział reportażu), Celina Paluch (redaktor techniczny), Włodzimierz Stokowski (zastępca redaktora naczelnego), Jerzy Wilmański (dział kulturalny), Teresa Wojciechowska (sekretarz redakcji). Wydawca — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji Łódź, ul. Piotrkowska 96, telefony: 244-79, 217-98 oraz 293-00 wewn. 29, 39, 40, 41 i 42. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6,50 zł, kwartalnie 19,50 zł, półrocznie — 39 zł, rocznie — 78 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa, Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 783. H-4.